Nr. 10. Warszawa, dnia 27 Lutego (11 Marca) 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA. Blizka przyszłość. — Tydzień polityczny. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Popieranie pracy produkcyjnej. — Z Galicyi, p. Cho. — Listy z Paryża, p. B. — FEJLETON: Liberum veto, p. Posła Prawdy. — BADANIA NAUKOWE: Historya: Szymon Askenazy: Ministeryum Wielhorskiego, p. Turn. — Z dalekiej ziemi, p. K. R. Z. — LITERATURA I SZTUKA: Literatura rosyjska, p. Zenona Pietkiewicza. — Literatura angielska, p. dr. L. Winiarskiego. — Przegląd teatralny, p. Andrzeja Niemojewskiego. — Notatki literackie i artystyczne. — W dali. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

Od Administracyi.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty. Prosimy o zamówienia wczesne dla uniknięcia przerwy, zwłoki i braków w wysyłce pisma. Numery styczniowe i lutowe wyczerpane.

POLITYKA.

BLIZKA PRZYSZŁOŚĆ.

Telegraf doniósł o zgłoszeniu się nowego pretendenta do olbrzymiego spadku otwierającego się po Synu Słońca i jego niedostępnym dla ziemian majestacie. Zgłosiły się mianowicie z propozycyą wydzierżawienia zatoki sanmuńskiej, na wzór podobnej operacyi dokonanej przez Niemców w r. 1897 w Kiao-czau, Włochy. Dano im wprawdzie odprawę, szorstką podobno nawet, łamiącą zwyczaje przyzwoitości, tak szanowanej przez dyplomacyę, stanowiącej całą jej etykę. Tsung li Jamen, czy też inna jakaś magistratura lub pojedynczy mandaryn zwrócił przedstawicielowi Włoch propozycyę i dołączył odmowę. Włochy nie zrażają się jednak niepowiedzeniem, nie mszczą się za zniewagę: po kupiecku karbują tylko krzywdę, wzmacniając nią przyszłe prawo, i po kupiecku też nie odstępują od interesu, póki drzwi nie zatrzaśnięto. Rząd angielski pośrednio wypiera się tajemnego popierania Włoch; jeżeli jednak mocarstwo to kiedykolwiek z galeryi widzów dostanie się na estradę koncertu europejskiego w Chinach, zawdzięczy to tylko Anglikom: jeżeli niezrażone posyła sześć okrętów na wody chińskie, musi liczyć na czyjąś pomoc, a przynajmniej życzliwe nieprzeszkadzanie, do takiej zaś życzliwości Anglia wraz z Niemcami chyba skwapliwszą będzie od innych.

To wciskanie się Włoch w szranki turnieju jest skutkiem poczucia, że zbliża się już chwila, w której polityka, pracująca teraz dopiero nad najogólniejszem obmyśliwaniem udziałów spadkowych, zacznie je z żywego ciała potworu chińskiego wykrawać. Kto się na termin prekluzyjny nie stawi, ten później z kwitkiem odejdzie: wezmą za niego inni, lepszą pamięcią o własnych interesach i większą siłą obdarzeni. Spadkobiercy podzielą się na grupy, pozbijają się w aglomeraty, w rwącym potoku namiętności zaborczej, tego najsilniejszego demiurga świata politycznego, w zespoleniu będą się czuli bezpieczniejszymi. W tem żywiołowem, raczej instynktowo-egoistycznem, niż świadomie dyplomatycznem zbijaniu się w większe masy kierować się muszą sympatyami i antypatyami swemi europejskiemi, w stosunkach samej Europy tkwiącemi; ale stosunki miejscowe, coraz liczniejsze i zawilsze, w miarę postępującego procesu rozkładowego w Chinach wywoływać będą sympatye i antipatye azyatyckie, w niejednym przypadku z europejskiemi sprzeczne, jakiem np. jest w spełnionym fakcie już do historyi weszłe współdziałanie Niemiec z Francyą, gdy po wojnie 1894 r. potrzeba było odpędzić od zwyciężonych Chin zwycięzką Japonię.

Kiedy mowa o spadku, nie potrzeba sobie wyobrażać, aby polityka na wodach chińskich już panująca, a z wód wdzierająca się na lądy chińskie — chciała burzyć państwo, rozbijać społeczeństwo, albo też zagarniać półtora razy od Europy większe terytoryum chińskie. Nie, polityka europejska, ekonomicznie wyćwiczona, oddająca żołnierza na usługi kupca, ceniąca pomyślność ekonomiczną wyżej może, niż chwałę wojenną. Europa taką romantyczką nie jest. Dzierżawa niemiecka w Kiao-czau stanowi typ tej przyszłej *usucapio*, do której wszyscy dążą. Panowanie na wybrzeżu, opanowanie wszystkich wejść i wyjść, osaczenie wnętrza: kolonizacya z brzegów, rozszerzająca się w głąb, zakreślająca koła o coraz większym promieniu; osiedlanie się wśród Chińczyków z własną swą wyższością cywilizacyi, mózgu i pięści: spokojny podbój na coraz większem terytoryum przez urzędnika, kupca, misyonarza, alkohol, a w potrzebie i armatę: oto ideał, oto program. Takie ukształtowanie się zaborczości pozwoli wysysać metodycznie pracę, skrzętność, zręczność i wielką liczbę chińską; społeczeństwa chińskie odda w niewolę Europy: zapewni wszystkie korzyści handlu wymiennego; da odpływ nadmiarowi istot i sił w mrowiskach europejskich; pożądliwość nasyci: zrodzi nową ambicyę, nową sławę i nową też wielkość narodów europejskich. Potem przyjdzie asymilacya, potem wyłanianie się z macierzystego łona jestestw samoistnych, potem zawiści i walki między nimi — i będzie Europa w Azyi, a człowiek człowiekiem wszędzie.

Ta nieodwrócona przyszłość Chin jest niezmiernie ważnym czynnikiem logicznym dla umysłów ku przyszłości Europy zwróconych. Pod względem ekonomicznym nic zgoła w dziejach, może nawet odkrycie Ameryki, nie da się porównać z tem wlamywaniem się Europy do Chin. Względy też ekonomiczne do zarysowanego wyżej

podboju najsilniej dziś może pędzą, gnają, zaganiają. Aby nie mieć z Chin rujnującego współzawodnika, potrzeba mieć spętanego niewolnika. Machina europejska przy robotniku chińskim zabiłaby przemysł europejski, gdyby nie poszła w jego jarzmo. Jasne, jasno widzieć dające światło rzuca tu na położenie przemysłu angielskiego tegoroczne sprawozdanie *Labour Department*. Pomijając ohydne ocenianie pomyślności i prawa, całego bytu i porządku społecznego na miliony i miliardy funtów sterlingów, to, co w sprawozdaniu powyższem ujęte jest w liczbę, ma druzgocącą wymowę. Azya, gdzie robotnik jest tańszy, pobija Europę: wywóz z samej Anglii europejskiej stale się zmniejsza. Chińczyk ma już własne opium, własne wyroby jedwabne, wielko-fabryczne; jego marynarka handlowa wypiera europejską. Nafta amerykańska ucieka przed japońską; zapałki nawet włoskie i niemieckie zniknęły już wyparowane przez wyspiarzy azyatyckich. Z chwilą opanowania pobrzeży—wszystko to ustanie: cła zmogą, czego nie zmoże wyższa ekonomiczna energia. Przyszłość rasy żółtej jest przyszłością rąk pracujących dla Europejczyka, grzbietów przed Europejczykiem się chylących — cywilizacyi wreszcie, mającej przyjąć w siebie szczep europejski. Rasa żółta walną bitwę o życie samoistne przegrała podczas interwencyi europejskiej 1894—5 r. Po Chinach przyjdzie kolej na Japonię. Świat cały dla Aryów.

Tydzień polityczny. Senat francuski przyjął d. 1 b. m. 155 głosami przeciwko 125 ustawę, zmieniającą skład sądzący sprawy rewizyjne w sądzie kasacyjnym. Dzielne mowy Leconte'a, Berangera warte są trzydziestu głosów, zdobytych w ostatniej chwili pobudkami zdawkowego patryotyzmu przez p. Dupuy. Swój republikanizm stwierdził senat d. 3 b. m. w wyborze Faillèresa na prezesa po Loubecie; 151 głosów walczyło tu przeciw 85, danym Constans'owi. Wybrany przemowę swą zakończył uznaniem przyszłego wyroku w sprawie Dreyfusa za jedyną prawdę, która oswobodzi sumienie narodowe od gnębiącej je zmory.

Zaraz po uchwaleniu zmiany organizacyjnej i jurysdykcyjnej Loubet podpisał odpowiednie prawo, a sąd kasacyjny jął prowadzić śledztwo. Zanosi się na to, że żarliwi wykrzykiwacze zmiany złapią się we własne sidła: armia, tj. przewodzący nad nią sztabowcy generalni wyjdą mniej czystymi ze sprawy Dreyfusa, niżby wyjść mogli przy utrzymaniu dawnego porządku. Esterhazy w *Daily Chronicle* opowiada rzeczy, które, jeśli się prawdziwemi okażą, napiętnują sprawców niegodziwością. Zapowiadano już uwięzienie Boisdeffre'a, Gonse'a, Pellieux'go. Do kwintetu należeli jeszcze Paty du Clam i Henry. Nawet Cassagnac w *Autorite* domaga się przywiezienia Dreyfusa dla osobistego przewodu krzyżowego w sądzie.

Proces Deroulède'a i Haberta znajduje się w stadyum poszukiwań, które mogą sprawę namawiania wojska do buntu i wywrócenia rządu uczynić drobnostką. Spisek orleański nie jest odosobnionym; liga odwołania się do ludu, pod nazwą *plebiscitaire* istniejąca, pracowała dla księcia Wiktora Napoleona. Zrobiono rewizye i u republikanów radykalnych i socyalistów, jak w stowarzyszeniu *Des droits de l'homme*. Sam Deroulède pragnie koniecznie męczeństwa na torturze senatu. „Liga ojczyzny francuskiej,“ mydłkująca z republikanizmem, przez Lemaître'a założona, ostatecznie się zbłaźniła odezwą przeciw Loubetowi; wyparła się jej, utraciła wielu członków i żadnej już teraz nie ma powagi politycznej. Wogóle od skonu Faure'a jakiś lepszy wiatr wieje.

Francya znowu ustąpiła przed Anglią. W lutym zawarła układ z sułtanem Maskatu (w Omanie) o nabycie terytoryum; gdy d. 14 b. m. konsul angielski zagroził bombami, sułtan wezwany do dowódcy okrętu musiał unieważnić swe zobowiązanie i zwolnić z wzajemnego zobowiązania Francyę. Teraz ministrowie angielscy łaskawie pozwalają rzeczypospolitej urządzić stacyę węglową w myśl układu z r. 1862. Ministrowie francuscy wyglądają tu trochę lepiej, niż w sprawie Faszody; ale i tu widać lekomyślność w zapędach.

W Anglii Wyndham, sekretarz parlamentarny m. wojny, miał w Izbie gmin prelekcyę o konieczności wzmocnienia sił zbrojnych na lądzie. Anglia — mówił — musi się przygotować na to, że w przyszłej wojnie nieprzyjaciel wyląduje na jej terytoryum. Rząd chce trzymać stale trzy korputy piechoty, cztery brygady jazdy i 54 bateryc dział.

Zgromadzenie kreteńskie radzi nad statutem. Ks. Jerzy ma być *księciem Krety*. Anglia, Francya i Włochy ustanowić mają komitet nadzorczy.

Izba niższa sejmu węgierskiego na swego prezesa wybrała Parczella. Roboty idą spokojnie.

W Hiszpanii Sagasta upadł. Na czele rządu stał już d. 28 z. m. zachowawca, a właściwie zupełny wsteczník, ultra-katolik, Silvela Zaczął on od zamknięcia Izby reprezentantów (kongresu), z której ma tylko sześćdziesiąt kilka głosów. On sam prowadzi sprawy zagraniczne, wewnętrzne—Dato, Villaverde skarb, Duran sprawiedliwość, Polavieja wojsko, Pidal roboty publiczne i kolonie, Gomez Imaz marynarkę.

W końcu lutego papież zachorował. Zrobiono mu operacyę. Była obawa o życie. D. 4 b. m. chory już wstał; kilka godzin przepędził nie w łóżku. D. 2 b. m. skończył Leon XIII 89-ty rok życia.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

POPIERANIE PRACY PRODUKCYJNEJ.

Dzienniki niektóre doniosły, iż grono „ludzi energicznych“ postanowiło założyć w Warszawie Towarzystwo zwolenników pracy produkcyjnej. Motywy są takie: Mnóstwo młodzieży po ukończeniu różnych zakładów naukowych nie wie, co z sobą począć i stara się o posady w rozmaitych instytucyach i kancelaryach. Większość tej młodzieży nie wie jednak, gdzie możnaby najlepiej siły swoje spożytkować, nie wie, jakiem rzemiosłom, jakim procederom najpraktyczniej byłoby się poświęcić, aby dla siebie na chleb zarobić i krajowi dobrze się zasłużyć tudzież zająć te stanowiska, które dotychczas wyzyskują cudzoziemcy. Towarzystwo zamierza przedewszystkiem zbadać warunki pracy, „aby sobie i innym drogę oświetlić,“ następnie założyć ma kasę, z której będą wydawane członkom pożyczki za zbiorowem poręczeniem na różne gałęzie handlu: wreszcie otworzy „kurs nauki poznawania różnych specyalności handlowo-przedsiębiorczych.“

Jakkolwiek ten program, pobieżnie w pismach zaznaczony, jest bardzo chaotyczny, jednakże Towarzystwo zwolenników, czyli popierania pracy produkcyjnej, samodzielnej, jest nam bardzo potrzebne i mogłoby istotnie odegrać doniosłą rolę w życiu społecznem i ekonomicznem. Dążność do poszukiwania i zdobywania posad wszelakich, jak to już niejednokrotnie *Prawda* i inne pisma zaznaczały — jest tak wielka i szeroka, że poprostu zaczyna ogółowi naszemu grozić poważnem niebezpieczeństwem. Nietylko ludzie niezdolni do niczego, w żadnym zawodzie niewyspecyalizowani, nietylko kandydaci z elementarnem lub średniem wykształceniem, ziemianie zbankrutowani, przedsiębiorcy niefortunni i niedołężni, lecz nawet fachowcy z wyższem wykształceniem marzą o posadzie biurowej i wszelkiemi siłami dążą do niej.

W społeczeństwie naszem, nawskróś przesądnem i przesiąkniętem w drodze dziedzicznej pojęciami o pracy godziwej lub nie-godziwej, uszlachetniającej i poniżającej — dotychczas zachowało się to znamienne przekonanie, że handel, rzemiosło lub jakiekolwiek przedsiębiorstwo dla ludzi, zaliczających siebie do „dobrze urodzonych“ lub wogóle do „inteligencyi“ — jest zajęciem poniżającem. Wolą oni być aplikantami w biurach lub kancelaryach, wycierać tam kąty i brudne stoły, znosić fantazye, upokorzenie, często brutalne traktowanie swych zwierzchników, niż oddać się jakiejś pracy niezależnej. Taki pan kancelista, urzędniczyna, zaliczony do kategoryi pracowników „z wolnego najmu,“ pobierający 15—20 rb. miesięcznie, uważa się za postawionego na wyższym szczeblu społecznym, niż np. ogrodnik, piwowar, krawiec, kuśnierz itd., jakkolwiek ci fachowcy pod względem moralnym są niezależniejsi, a materyalnie lepiej stoją, niż niejeden „naczelnik kancelaryi“ lub nawet „wydziału,“ który na przechodzenie różnych szczebli służbowych stracił kilkadziesiąt lat życia.

Towarzystwo zwolenników pracy produkcyjnej miałoby tedy przedewszystkiem do zwalczenia te przesądy i fałszywe pojęcia o poniżającej lub uszlachetniającej pracy. Musiałoby ono otworzyć oczy na istotny stan rzeczy tym tysiącom kandydatów do posad biurowych, że właściwie na tej drodze poniżenie i poniewierka ich czeka, że nie posiadając zdolności i ukształcenia odpowiedniego, a co najważniejsza — protekcyi, która więcej znaczy, niż dwa warunki powyższe, można całe życie być drobiazgiem urzędniczym, marnym kancelistą, całe życie połykać w cichości zniewagę, pełnić rolę popychadła, automatu, siedzieć po uszy w długach lichwiarskich i duszę swoją zalęknioną zginać w pałąk.

Następnie Towarzystwo takie musiałoby wiele pracy poświęcić na wyświetlenie warunków różnorodnych dziedzin naszego życia, wreszcie na poznanie sił tej wielkiej masy kandydatów do zarobkowania. Zebranie odpowiednich danych w tej mierze posłużyłoby do rozwiązania pytań: 1) Czy my umiemy pracować pożytecznie? 2) Ilu jest ludzi oddanych pracy jałowej? 3) Ilu zupełnie niezdolnych do żadnej pracy, z braku jakiegokolwiek przygotowania do niej? Dziś na te pytania można odpowiedzieć tylko ogólnie: znaczny procent naszych sił i energii idzie na marno, znaczny również procent idzie na pracę bardzo mało produkcyjną; setki fachowców marnują swą wiedzę i zdolności skutkiem tego, że nie mogą wyszukać sobie dziedzin odpowiednich. Wreszcie tysiące wykolejonych i niedołęgów obarczają społeczeństwo ciężarem pasorzytniczym. A jednak śród nas drzemie wielka energia, która pobudzona i wyzyskana odpowiednio, mogłaby nietylko rozwinąć pracę produkcyjną na polach

już uprawianych, lecz i na tych, które ugorem leżały lub któreby się dały wydrzeć wszelkim zaroślom.

Towarzystwo ma zamiar dążyć do zajęcia tych placówek, które opanowali cudzoziemcy. Zadanie to niełatwe, tem bardziej, że nawet kapitaliści nasi nie spieszą, gdy się im sposobność korzystna nadarza. Niedawno pisma nasze naiwnie się cieszyły i hymny pochwalne śpiewały paru przedsiębiorcom, którzy wszedłszy w skład gospodarzy komunikacyi tramwajowej, zdobyli sobie patent dzielnych mężów i zasłużonych obywateli kraju. Natomiast wielu takim panom dzielnym zabrakło już odwagi do skorzystania z innych „czynów obywatelskich“ i sposobności: W Żyrardowie zmieniali się akcyonaryusze. Pomimo jednak korzystnych widoków, nasi kapitaliści nie pospieszyli z zajęciem tych placówek. To samo było niedawno w zagłębiu dąbrowskiem: parę wielkich przedsiębiorstw przemysłowych przeszło od cudzoziemców do cudzoziemców. Zresztą pomijamy tego rodzaju pola pracy, bo cała „obywatelskość“ polegałaby na tem, że fabrykant ...ski, kupiwszy przedsiębiorstwo od ...berga lub ...steina, nabijałby swój trzos i tak już pełny przy pomocy fachowców... cudzoziemców. Kapitał nie zna kraju i narodu, nie zna „rodaków,“ dla których miałby specyalnie stworzyć warsztaty pracy. Zna on tylko energię kosmopolityczną, wiedzę fachową i siłę ludzką, bez względu na narodowość. Mieliśmy setki przykładów, że nasi „dzielni“ kapitaliści posługiwali się takiemi siłami, a na swoje usprawiedliwienie, niestety, mogliby niejeden raz wykazać brak odpowiednich fachowców. Są wszakże i tacy, którzy nic na własną obronę powiedzieć nie mogą, chyba tylko to, że całą swą duszę noszą w trzosie.

Towarzystwo zwolenników pracy produkcyjnej będzie miało trudne zadanie w wywalczaniu placówek u takich panów, a zdaje się nawet nie znajdzie środków moralnego nacisku na nich. Musi ono działać innemi drogami: wytwarzać i skupiać siły fachowe, które zbiorową pracą, wspólną energią, nie idąc na służbę kapitału kosmopolitycznego, wywalczyłyby lub stworzyły sobie samodzielne pola pracy produkcyjnej. Kraj nasz posiada bardzo przyjazne warunki po temu, kryje w sobie wiele bogactw, które należy otworzyć i za ich pośrednictwem rozniecić nowe ogniska pracy, zaniedbane lub wcale dotąd niewyzyskane.

Nie wiemy, na czem będą polegały „kursy poznawania różnych specyalności handlowo-przemysłowych.“ Jeżeli to mają być wykłady dla tych kandydatów do wszystkiego i do niczego — mogą przynieść jakąś drobną korzyść. Jeżeli służyć będą dla rzemieślników, niedostatecznie przygotowanych — to również nie można zaprzeczyć pożytku, chociaż niewielkiego. Ale jeżeli ma to być środek wytwarzania nowych sił fachowych i energii produkcyjnej — zmarnowane będą zabiegi. Niech takie Towarzystwo, jeżeli wprowadzi swój, fantastyczny duch w silne ciało korporacyjne nowe lub istniejące — postara się o szkoły, o ułatwienie wogóle nauki fachowej naszej młodzieży ubogiej, a nawet o wysyłanie jej, w razie potrzeby, na praktykę za granicę, jak to czynią w ostatnich czasach nasi rzemieślnicy (chociaż dotąd w formie prób bardzo skromnych i pojedynczych). Towarzystwo takie wreszcie powinno młodym a zdolnym i rzetelnym fachowcom wyrabiać kredyt na rozwijanie własnej pracy niezależnej, nie z jakiejś skromnej kasy, lecz z poważnej instytucyi finansowej, wobec której nowa przyszła korporacya, popierająca pracę produkcyjną, miałaby wielką powagę.

Z GALICYI.

Kasa oszczędności w związku z polityką panów krakowskich.

W obecnej chwili sejm obraduje we Lwowie. Cała jego uwaga i praca, jak dotychczas, zajmuje się tylko zbadaniem stanu Kasy oszczędności i sposobami ratowania tej instytucyi, zachwianej lekkomyślnością jej dyrektora, Zimy. O tej przeto sprawie, dziś już bardzo głośnej i umyślnie rozdymanej, mówić jedynie będę. Jest ona przy całej swojej niesympatyczności tak połączona ściśle z ogólnem wewnętrznem politycznem położeniem Galicyi, że o bardziej charakterystyczną chyba trudno. Kasa oszczędności nosiła tytuł krajowej dlatego, że przed wielu laty została założona z polecenia sejmu w celu rozwinięcia zmysłu oszczędności śród warstw ubogich i utworzenia trwałej instytucyi finansowej dla wkładów groszowych. Rozwinęła się prędko i zajęła bardzo poważne stanowisko w kraju. Na czele jej stanął dyrektor Zima, mianowany jeszcze w chwili, gdy stronnictwo stańczykowskie zaczęło ledwie w pierzę porastać, a dzielny marszałek Zyblikiewicz, syn chłopa, nie osoby i stronnictwo, ale kraj cały miał na oku. Od ustąpienia jego zaczyna się królowanie Stańczyków, polityka kokietowania i ruina materyalna Galicyi — gdy na czele rządów i finansów stali reklamowani ministrowie austryaccy — Dunajewski i Biliński. Nigdy Galicya nie miała większych klęsk materyalnych, jak za panowania tych ministrów. Ale to tylko pośrednio odnosi się do rzeczy.

Kasa oszczędności rozwijała się, zakwitła, stała się popularną, wspierała drobny przemysł, handel, ale zapragnęła być wielkim bankiem — i to ją zgubiło, chociaż mogła stać się jej zasługą niespożytą. Chodzi o to, że Galicya nie posiada wielkiego przemysłu — wszystko, co się nim nazywa, jest małą, karłowatą wegetacyą. Wytworzyć taki przemysł w dzisiejszych warunkach ekonomicznych Europy jest ideałem każdego kraju i prowincyi. Mojem zdaniem, jest to zasada błędna, gdyż ona bogaci jednostki, a mało przynosi milionom. Zakrój na wielki przemysł w Galicyi posiada jedynie eksploatacya nafty. Była ona wszakże prowadzona do niedawna sposobem „gospodarskim.“ Tymczasem przed laty 5—6 może zjawił się w Galicyi człowiek zdolny niewątpliwie, ale umysł bałamutny, mało logiczny, mało ścisły, obdarzony natomiast wybujałą fantastycznością. Mówię o St. Szczepanowskim. Porywał on swych słuchaczów w Radzie państwa i w sejmie. Ale mowy jego miały taki sam charakter, jak umysł: jeżeli zaczął od dowodzenia, że dwa a dwa jest cztery, to skończyło się na tem, że potrzeba podnieść podatek od cukru. Mimo to wszystko brawom i oklaskom nie było końca.

Otóż ten człowiek, coś pośredniego między znakomitym a bardzo zwykłym, świetny mówca, ideolog, skromny do ubóstwa prawie i nieznający wartości pieniędzy swoich i cudzych, dobry do rady, do inicyatywy, ale sam bezradny, zły administrator, mający dobre pomysły a nieznający się na ludziach jak dziecko — oczarował Zimę. Ten otworzył mu Kasę oszczędności jak własną, do dyspozycyi, a tymczasem interesy p. Szczepanowskiego szły źle. Do jego nazwiska przyłączyły się inne—Odrzywolski i Wolski, młodzi ludzie, którym także wielki przemysł spać nie dawał. I rozpoczęli czerpanie z Kasy w trójkę, aż nareszcie długi urosły do [illegible] mil. zlr. — biorę cyfry okrągłe. Że stanowiska Zimy, jako dyrektora instytucyi finansowej, było to niewątpliwie dowodem lekkomyślności, ale ze stanowiska ekonomicznego i obywatelskiego cóż on właściwie robił? Nic zdrożnego, nawet więcej powiem — rzecz dobrą, tem bardziej że przedsiębiorstwa owej trójcy miały trwałą i niezaprzeczoną podstawę, potrzebowały tylko rozwoju. W każdym innym kraju istnieją banki państwowe lub prywatne nawet dla wspierania pewnych gałęzi przemysłu, u nas nic podobnego niema. Banki państwa w Wiedniu wspierają Niemców, Żydów, Czechów, ale nie nas. Nie w tem więc, że udzielił zbyt wielkiego kredytu pp. Szczepanowskiemu, Odrzywolskiemu i Wolskiemu, leży wina i odpowiedzialność Zimy.

Niegdyś należał on do stronnictwa t. zw. demokratycznego, szlacheckiego. Dziś jest ono przeżytkiem politycznym, ale epigonowie jeszcze się wloką na ogonie dawnej żywotnej idei. I Zima przez nałóg należał do tego stronnictwa. Wprawdzie niegdyś był warcholem, ale dyrektura kasy uspokoiła go. Zawsze jednak z przekonań i nałogu pochylał się ku lewicy, tak samo, jak owa trójca przemysłowa, którą kapitałem Kasy oszczędności wspierał. Lewica sejmowa, legalna, szlachecka, oportunistyczna miała w nim opiekuna i doradcę.

Kiedy Szczepanowski i Sp. założyli dziennik (*Słowo polskie*) dla obrony jej interesów, Zima finansował to przedsięwzięcie. Niska cena dziennika odrazu wywołała walkę współzawodniczą, tem bardziej zażartą, że innym podcinała egzystencyę. Pozycya była o tyle drażliwą, że pod niewyraźne zasady nowego dziennika podsuwano kontrminę, że na czele stanął człowiek nieposiadający nietylko powszechnej sympatyi, ale uważany za ambitnego agitatora. Zresztą to fakt drugorzędny. Zima nie umiał pogodzić moralnego stanowiska dyrektora instytucyi finansowej z urzędem odpowiedzialnym. Miał grzechy osobiste, które mu teraz zaliczono. Udzielał kredytu nietylko ludziom poważnym, ale niedającym żadnej gwarancyi pokrycia. Za to jedynie został aresztowany i zapewne będzie pociągnięty do odpowiedzialności.

Oddawna chodziły po mieście pogłoski, że w Kasie źle się dzieje i już za panowania Kazimierza Badeniego katastrofa była nieunikniona. Badeni jednak jako człowiek rozumny i wytrawny, który na szali zważył nie tyle interesy stronnictwa, ile publiczne, nie dopuścił do skandalu, który dzisiaj stanowi nietylko prawdziwą ucztę duchową dla Wolfów, Schönererów, *N. fr. Presse* i *Tagblattów*, ale także i dla części naszej prasy w rodzaju *Przeglądów* i *Czasów*. Ci, którzy tak długo czekają na sposobność uderzenia, za jednostkę biją cały naród.

W całej osnowie tej smutnej sprawy zachwiania się — nie bankructwa wcale — Kasy oszczędności nie leży bynajmniej wina Zimy, ale walka ze stronnictwem opozycyjnem, którego on był finansowym filarem. Nie bronię bynajmniej lekkomyślności Zimy, której źródła szukać trzeba w uporze ambitnego starca, tem bardziej, że nie mogę bronić i usprawiedliwić jego błędów i win względem Kasy, ale czyż można na seryo te drobnostki uważać za powód całej awantury? Trzeba być bardzo naiwnym, aby tak sądzić. Winy Zimy pod tym względem są wspólne wszystkim kierownikom instytucyj finansowych. Można

śmiało aresztować każdego dyrektora banku bez żadnego powodu, a w trzy dni znajdą się dowody jego winy.

Dla mnie, osobiście, Zima nie należał do ludzi sympatycznych. Z jednej strony był on rozrzutnym, z drugiej — zbyt skąpym: pozował na człowieka uczciwego, a ludzi nieuczciwych nie lubił, bał się, do siebie nie dopuszczał. Dość było rozejrzeć się w jego otoczeniu codziennem, ażeby rozbudzić w sobie pewne wątpliwości, a nawet pewien niesmak. Prawdziwi Lwowianie, wychowani w „pokojach do śniadań“ i w restauracyach o zaplutej i wysypanej piaskiem podłodze, mogli go byli oglądać codziennie o 9-ej wieczorem „pod gruszką“ w otoczeniu nie do zazdrości. Z jednej strony szeptał mu do ucha zwierzenia jakiś prezes, żyjący z polityki i z kredytu, z drugiej siedział trubadur w dymisyi, potrzebujący gwałtem pieniędzy na wekselsolo, z innej — wódz demokratów bez wojska, szukający dobrej lokacyi dla swojej wymowy, a dalej, na szarym końcu — drobiazg dziennikarski z gotowymi zawsze wekslami w kieszeni. A kręcili się kolo niego i lepsi. Patrząc na to całe piękne towarzystwo, mimowoli przypominałeś sobie sentencyę: powiedz mi, z kim przestajesz, a ja ci powiem, kim jesteś. I cóż się stało? W portfelu weksli bez pokrycia znaleźli się wszyscy przyjaciele i towarzysze wieczornych gawęd z „pod gruszki.“ Żaden z nich bronić go nie chciał, a dziennik, założony przez Szczepanowskiego w najlepszej myśli i chęci, ani razu nie zajął zasadniczego stanowiska w tej całej sprawie, jak gdyby nie wiedział o tem, że walka z Kasą oszczędności jest atakiem bardzo śmiałym stronnictwa krakowskiego, Zima zaś—kozłem ofiarnym własnej lekkomyślności i tchórzostwa przyjaciół.

Z chwilowym upadkiem Kasy oszczędności łączy się sprawa agitacyi żydowskiej. Tej agitacyi przynajmniej przypisywano w początkach awanturę z Kasą. Jest w tem odrobina prawdy, ale tyle tylko, że żydzi są rozumniejsi i przezorniejsi od nas, bo wcześniej niż my byli poinformowani o stanie Kasy. Oni istotnie rzucili się pierwsi do wyjmowania wkładów. Rozpuszczono na ten temat pogłoski, że poseł dr. Byk i kilku przyjaciół pragną założyć bank żydowski, kapitały zatem, odebrane z Kasy oszczędności, miały służyć za podstawę przyszłemu bankowi. To być może, ale nie tu była przyczyna wycofania wkładów, o czem dowiedzieliśmy się w tydzień dopiero od chwili pierwszego alarmu.

Są czyny, do których ani ludzie, ani stronnictwa nie przyznają się głośno w imię uczciwości publicznej, a jednak sens moralny tych czynów jest tak przezroczysty, że czerwone niteczki widać doskonale. Panowie krakowscy potrzebowali jakiegoś odwetu za tak zwaną „Floryankę“ i rządy Kieszkowskich. A w sprawie Kasy oszczędności nadarzyła się doskonała sposobność, tem lepsza i bardziej pożądana, że wiązała się bardzo ściśle z tą niezorganizowaną gromadką, idącą luzem lub kółkami, która nosi głośny tytuł, pomimo małej treści — stronnictwa postępowego, demokracyi, opozycyi, lewicy — jak się komu podoba. Oto są wasi ludzie! Jak można ich dopuścić do rządu, robić ministrami, prezydentami, namiestnikami, a nawet dyrektorami banków. Prawda, ludzie są nieosobliwi, ale stronnictwo opozycyjne wobec rządu oligarchów galicyjskich nie straciło ani racyi istnienia, ani potrzeby, ani doniosłości i przyszłość niewątpliwie do niego należy — nie dlatego, że jest opozycyjne, lecz że nie jest kastowem, że lepiej i szerzej rozumie dobro publiczne od panów krakowskich i ich służby. Pomimo to wszystko, na razie przynajmniej, owi panowie i ich satelici odnieśli zwycięztwo: zdyskredytowali moralnie opozycyę, nie żałując w tym celu żadnej broni i pozbawili ją oparcia finansowego o tyle, o ile drobny przemysł i handel, po macoszemu traktowany przez państwo i kraj, a więc niemający powodów do uwielbiania rządów oligarchicznych w Galicyi, mógł zasilać się w Kasie.

Najwinniejszym był niewątpliwie Zima, gdyż zamało brał na własną odpowiedzialność i barki, to też on i urzędowy wykonawca jego woli, buchalter Wędrychowski, zapłacili za to upokorzeniem i więzieniem, a będą musieli odpowiadać sądownie. Śledztwo wykaże nadużycia — tego spodziewać się można, ale chodzi o to, ażeby nadużyciom na przyszłość zapobiedz. Jakie będą rzeczywiste straty kasy, dziś jeszcze nie wiadomo, wiadomo tylko, że wątpliwych weksli będzie około miliona złr. Wątpliwe, nie są jednak niepewne. Prolongowany termin spłaty niezawodnie przyczyni się do tego, że większość długów wekslowych, niemających dostatecznego pokrycia, zostanie jednak spłaconą. Przedsiębiorstwa naftowe Odrzywolski, Wolski i S-ka mogą z łatwością dług swój pokryć, a więc ostatecznie to nie jest żadna katastrofa finansowa, kasa mogłaby sama w ciągu kilku a może i mniej lat wyjść z fałszywego położenia. Dopomódz do tego w interesie własnej opinii należało spokojnie, cicho, bez hałasu — i tak się wszędzie dzieje, gdzie polityka w drogę nie wchodzi.

U nas tę sprawę rozdmuchano i przesadzono rozmyślnie. A jedyny ratunek upatrywano w tem, ażeby sejm imieniem kraju poręczył nietykalność wkładów. Myśl w zasadzie dobra, powiem nawet piękna. Kraj tę instytucyę stworzył, niechże ją w krytycznej chwili ocali, ale to jest smutne, że sposób ratunku bodaj czy nie jest bardziej niebezpieczny od teraźniejszego jej zachwiania się.

Komisya budżetowa, która zajęła się poprawieniem na przyszłość stosunków kasy i obmyśleniem środków ograniczenia samowoli dyrektora, przedstawiła sejmowi do uchwały wnioski bardzo — powiedziałbym — ryzykowne, ale co gorsza, że sejm te wnioski przyjął. Pomijam inne warunki, mniej lub więcej słuszne, pod którymi on udziela poręki wkładom na przyszłość, niektóre z nich są wszakże groźne. Według brzmienia uchwały, dwóch lub trzech dyrektorów, buchhaltera i syndyka kasy będzie mianował marszałek krajowy. Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na to, że marszałka mianuje cesarz z grona posłów, a wydział krajowy jest organem wykonawczym sejmu i przed nim tylko odpowiedzialnym. W uchwale przeto powyższej jest dużo sprzeczności i niestosowności. Dlaczego sejm ma tu być zastąpiony nie przez swój odpowiedzialny organ, ale tylko przez jednego członka i to mianowanego w Wiedniu? Przecież i Zima grzeszył tem, że brał za wiele na własną odpowiedzialność. Daleki jestem od wszelkich podejrzeń co do osoby dzisiejszego marszałka, chociaż jego genialności nawet przez lupę dopatrzyć się nie mogę, ale nie wydaje mi się słusznem, aby w tej sprawie rządziła wola jednego człowieka zamiast woli zbiorowej, tem bardziej, że przyjść mogą okoliczności, kiedy marszałkiem zamianują jakiegoś Schönerera albo Spitzbube, którzy zapragną na posadach dyrektorów kasy mieć Wolfów albo Luegerów. A tymczasem my z grzeczności albo w dowód zaufania do kogoś — choćby do p. Stanisława Badeniego — zrzekamy się dobrowolnie przynależnego nam prawa. To rzecz niebezpieczna. Kto się prawa zrzeka, ten z niego korzystać nie umie.

Takie to zwycięztwa odnoszą panowie krakowscy.

Cho.

LISTY Z PARYŻA.

Paryż, 2 marca.

Wystawa z roku 1900. Stan robót i planów.

Wystawa z roku 1900 wysuwa się coraz bardziej na pierwszy plan. Afisze donoszą o licznych „gwoździach,“ jakie rozmaite przedsiębiorstwa mają zamiar urządzić, władze ogłaszają konkursy na dostawy, ministrowie, a nawet prezydent zwiedzają warsztaty i pracownie wystawowe. Roboty zaś posuwają się od kilku miesięcy raźnie. Podwaliny najważniejszych gmachów są już rzucone, plan całości, choć może ulodz gdzieniegdzie zmianom, pozostanie w głównych zarysach. Według powszechnych zapewnień wszystko zaczęto w czas i nie potrzeba będzie pod koniec okresu poprzedzającego otwarcie obawiać się zawodów ani uciekać się do karkołomnego pośpiechu.

Wystawa z roku 1900 dzielić się będzie na cztery, a względnie na sześć głównych części. Pierwsza: to początek pól Elizejskich, z wielkim i małym pałacem, druga: okolica Inwalidów z pałacami rozmaitych gałęzi przemysłu i z narodowem rękodzielnami, trzecia: pole Marsowe, tu wznosić się będą: pałac elektryczności, pałace wielkiego przemysłu, „sala zabaw“ i wieża Eiffla, pomalowana na nowo. W Trocadero rozłoży się wystawa kolonialna francuska i cudzoziemska, a gałęzie jej rozrzucą się podobno daleko. Za piątą część należy uważać brzegi Sekwany, które pomysłowość rozmaitych projektodawców przystrają w najróżnorodniejsze gmachy. Szósty dział dodatkowy ma stanowić lasek Wincenński, przeznaczony na wystawę sportową.

Kto wejdzie na wystawę z placu Zgody, przez pomnikową bramę, umieszczoną na Quoi de la Conférence, ten aż do mostu Inwalidów nie spotka nic ważniejszego. Przestrzeń ta umyślnie będzie zostawiona bez dużych zabudowań. Oko widza przykuje tu biegnąca po prawej ręce aleja Pól Elizejskich ze swoimi wspaniałymi pałacami, otoczonymi zielenią i zbudowanymi jak najwytworniej.

Dopiero od wspomnianego mostu zaczną się gmachy upiększające brzeg. Najpierw pawilon miasta Paryża, którego budowę polecono Graffignemu, potem pałac ogrodnictwa i hodowli drzew, wznoszony przez Gautiera. W ich sąsiedztwie pałac kongresów i ekonomii społecznej.

Budowy te będą przedsmakiem „ulicy paryskiej,“ wspaniałej alei pałacowej, pełnej ożywienia i oryginalności, mającej ciągnąć się aż do mostu Alma. Tuż za mostem zostanie umieszczone odtworzenie Wenecyi, nieco dalej, w pobliżu Trocadera, będzie wystawa żeglugi rozrywkowej. Zanim jeszcze opuścimy prawy brzeg i Trocadero, ujrzymy fantastyczny pawilon perski i budowy, mieszczące wystawę kolonij holenderskich.

Mostem Jerzy przechodzimy rzekę i znajdujemy się u stóp wieży Eiffla. Znów potężnie faluje tu życie. Po prawej stronie dworzec z ogromnym, nieustającym ruchem, z obu stron mostu pełne smaku pałace leśnictwa, myśliwstwa, rybactwa i żeglugi. Około wieży zbija się w malowniczy tłum: gmach optyki, pawilon dziejów stroju, wielkie rękodzielnie państwowe tytoniu, robót publicznych itp. Potem pawilony małych państw: wyspy Haiti, republiki San Marino, Peru, wielkie restauracye, dalej dyorama wystaw, restauracya ludowa, gmachy: starodawnego Paryża, Andaluzyi, teatru maryonetkowego i pawilon świątla.

Po drodze ku Inwalidom rozsiądą się: pawilon przyborów do żeglugi, pałac armii lądowej i morskiej, nareszcie „gród narodów.“ Pod tą nazwą należy rozumieć pawilony Niemiec, Anglii, Rosyi, Włoch,

Austryi, Węgier, Hiszpanii, Belgii. Meksyku, Argentyny, Boliwii, słowem wszystkich niemal państw kuli ziemskiej. Plany dotyczące układu owej części, nie są jeszcze ustalone i coraz nowe pomysły zwiększają jej różnorodność i bogactwo.

Przy ulicy Konstantyńskiej, jako u kresu przestrzeni wystawowej, będzie znowu dworzec kolei, tym razem podziemnej i umożliwiającej dostawę nowych przedmiotów i towarów do wrót niemal każdego z gmachów.

Właściwie i przez samą przestrzeń wystawową będą biegły sieci szyn kolejowych. Ale w przeddzień inauguracyi pokryje je warstwa ziemi tak, że nikt z przechodniów ich nie spostrzeże. Wystudyowano właśnie projekty tych linij i Towarzystwo kolejowe Zachodu, do którego należeć będzie i dworzec na polu Marsowem, przystąpiło do ich budowy. Jedna część toru kolejowego zostanie zachowaną nawet podczas wystawy: ta mianowicie, która połączy dworzec z pałacami maszyn i elektryczności. Dla zapewnienia prawidłowego funkcyonowania okazów wystawionych tutaj, potrzeba będzie wielkiej ilości węgla i opału, to też codzień rano określona liczba wozów dostarczy ich wystawcom.

Tak wyglądać ma wystawa w ogólności. Przejdźmy teraz do szczegółów.

Komitet podzielił się na sto kilkadziesiąt grup, każda ma kierować jakimś działem przemysłu, sztuki albo wiedzy. Już wiele z nich zabrało się do pracy, chociaż zapał i skrzętność nie we wszystkich grupach jednakowa.

Wspomniałem wyżej o pałacu ekonomii społecznej. Urządzenie jego należy do grupy sto pierwszej. Wystawa z r. 1900 będzie różnić się tem od wystawy z 1889, że ogarnie cały wiek dziewiętnasty i przedstawi naocznie jego zdobycze. Ekonomia społeczna rozwinęła się w ostatniem stuleciu potężnie, nie dziw więc, że potrzeba będzie aż całego gmachu do zestawienia jej dorobku. Komitet zwrócił się do jak największych kół z prośbą o współudział, zbierze on w swoim pałacu wszystko, co odnosi się do pomocy starcom, chorym, kalekom, do zmiany na lepsze praw o pracy, do załatwiania spraw robotniczych, jak: przytułków, pomocy w razie braku pracy, opieki nad terminatorami. O ile będzie możebnem, obraz uzupełni słowo drukowane, w tym celu utworzył się nawet zupełnie oddzielny komitet (102) zmierzający do zebrania biustów, portretów, pamiątek, modelów wspomnianej gałęzi. Medale, drzeworyty i autografy uzupełnią niejedno; zamówiono także umyślnie posąg Jana Leclaire'a, pierwszego przedsiębiorcy francuskiego, który dopuścił do udziału w zyskach swoich robotników malarskich. Pomnik ten otoczą biusty Turgota. Laroche-Jouberta, Berrego i Aleksandra Godina.

W tymże gmachu znajdzie umieszczenie wszystko, co odnosi się do opieki nad dziatwą. Będą tu reprezentowane wszystkie instytucye przemysłowe i rękodzielnicze, zatrudniające dziatwę, wszystkie sposoby organizacyi jej pracy, pracownie, szkoły zawodowe, prywatne i publiczne, wykłady, biura opieki i mieszczeń, przytułki sierocę; będzie tu biblioteka dzieł i dokumentów, odnoszących się do zaopiekowania dziećmi klasy robotniczej, i podobnie jak w innych działach, historya rozwoju dążeń w tym kierunku, przedstawiona uchwytnie i poglądowo

W pałacu ekonomii społecznej będą również zbierać się kongresy międzynarodowe. Na czele komisyi kongresowej stoi profesor uniwersytetu paryskiego, Gariel. Dotychczas wpłynęło do sekretaryatu czterdzieści kilka podań dotyczących zebrania kongresów, z tych 37 uwzględniono. Kilka innych odesłano komisyom specyalnym. Odmówiono komitetowi pań, który chciał urządzić „sześciotygodniowy wielki powszechny kongres kobiecy.“ Powodem był właśnie ów długi przeciąg czasu.

Zakrzątnęła się bardzo gorliwie około swego przedmiotu grupa jedenasta: drukarska. Ta pojmuje swoje zadanie bardzo rozlegle: dla wyjaśnienia rozwoju drukarstwa potrzeba sięgnąć dalej w przeszłość, obok wystawy więc „stuletniej“ urządza ona dział, rozciągający się od Gutenberga do 1800 roku i złożony z biblioteki dzieł historycznych, traktujących o danym przedmiocie, jako też z części właściwej: wydań, pras, czcionek, opraw itp.

Winiarze również unieśli się ambicyą. Rozesłali już oddawna zaproszenia do współudziału i nakreślili doskonały schemat swego pawilonu. Dzielą się oni, i zupełnie logicznie, na dwie klasy: hodowców winnej latorośli i wytwórców wina. Wystawa pierwszej będzie bardzo zajmująca. Jak uprawia się winnicę, jak walczy się z filokserą, jak odbywa się winobranie, jakich przyrządów używa się, jakie są rodzaje winnego krzewu, wszystko to unaocznią wystawcy. Historyka kultury zajmie wielce dział, przedstawiający historyę winiarstwa.

Klasa winna ma także zamiar nie pominąć ani jednego drobiazgu, należącego do niej.

O dalszych staraniach i o nowych szczegółach doniosę, gdy zbierze się nowa wiązka. Obecnie wspomnę o kilku najznaczniejszych wabikach wystawy, przyjętych już przez komitety, a zatem nienależących do urojeń.

Należy do nich przedewszystkiem ów „gród narodów.“ Na przestrzeni stosunkowo niewielkiej ułożą się w barwny wieniec wszystkie architektury. Obok pawilonu norweskiego, który z powodu swej kończastej budowy i swych wież zdobnych w dzwony, będzie miał wygląd jakby wielkiego kościoła, będzie wznosił się pałac niemiecki w stylu niemieckiego Odrodzenia. Anglia wybuduje w pobliżu pawilon królewski, odtwarzający pod względem zewnętrznym Kingston-House w Bradfordzie nad Avonem, jeden z najpiękniejszych gmachów architektury angielskiej z siedemnastego wieku, stawiany w stylu jakobowskim. Tu książę Walii złoży wszystkie swe wspaniałe zbiory obrazów, klejnotów, broni itp., otwierając wolny przystęp dla publiczności. Tylko jedna Szwajcarya nie będzie miała osobnego budynku: z powodów finansowych rząd federacyjny postanowił zadowolić się wystawieniem produktów szwajcarskich w pałacach zawodowych.

W części kolonialnej osobliwie dział Indyj holenderskich zapowiada się świetnie. Dzięki energicznym zabiegom swoich komisarzy, Holendrzy otrzymali na ten cel półtrzecia tysiąca metrów kwadratowych, rząd zaś amsterdamski wyznaczył na budynki i urządzenie blizko milion franków.

Na najwyższym punkcie terenu zostanie wzniesioną świątynia Buddy w całym przepychu swej architektury, z fryzami o fantastycznych osobach i z przedziwnemi ozdobami. Budowniczowie nie wysnują jej ze swej fantazyi, odtworzą tylko jedną ze świątnic jawańskich.

Tarasy, przecinające spadzistość gruntu, uwypuklą wielce samą budowę: dostępu zaś do gmachu strzedz będą fantastyczne zwierzęta i olbrzymi posąg.

Naokoło rozścielą się domy tubylców Australazyi. a w nich znajdą umieszczenie [illegible] materyały etnograficzne i przyrodnicze do poznania ziem należących do Holandyi. Kto zna sumienność i skrzętność jej uczonych, ten może spodziewać się, że i tu uwydatnią się te ich przymioty.

Miła wiadomość nareszcie — piszą Francuzi. Tancerki jawańskie, które tak podziwiano w r. 1889, wrócą. Co więcej, podobno pewna ilość arystokratek tubylczych zgodziła się wystąpić w tej roli.

Z dalszych pomysłów zaznaczam „salę uroczystości“ (salle de Fêtes) w pałacu maszyn. Będzie ona zajmowała 12,544 metry kwadratowe, a zmieści 15,000 widzów. Dziś największa sala paryska, t. zw. sala uroczystości w Trocaderze, mieści tylko 4,900 osób. Wielka szklana kopuła, o 40 metrach przekroju, dostarczy światła we dnie, wieczorem oświetlenie będzie elektryczne.

Innym „gwoździem“ ma być posąg Ferdynanda Lessepsa. Rzeźbiarz Fremiet już zaczął pracę nad nim. Ferdynand Lesseps będzie sześć razy większy, niż w naturze, na czarny jego salonowy strój zarzuconym będzie niedbale arabski burnus. Wyciągnięte w dal ramię zdaje się wskazywać żeglarzom Czerwone morze.

Ow posąg umieszczony na olbrzymiej kolumnie, o postumencie, zdobnym w dzieje wielkiego męża, stanie następnie u wejścia Kanału Suezkiego.

Onegdaj zamkniętem zostało podpisywanie się na akcye towarzystwa urządzającego tak zwaną mareoramę. Ma ona na celu zapewnienie gościom za pomocą odpowiednich urządzeń mechanicznych i złudzeń optycznych — przejeżdżać po morzu, chociaż statek, w którym usiądą ciekawi, będzie poruszał się po ziemi i na niedużej stosunkowo przestrzeni.

Porozlepiane wszędzie barwiste afisze donoszą także o blizkiem wykończeniu odtworzenia „Cour des Miracles.“ Będzie to obraz zwyczajów, obyczajów i zabaw paryskich z roku 1400. Na wielkiej przestrzeni przy avenue Suffren, inżenier i budowniczy Colibert, który odtworzył w 1889 Bastylię, urządza obecnie ostatnie szczegóły tej wystawy, a zamieszkałe w Paryżu osoby będą mogły oglądać ją już od początków kwietnia.

B.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Idealizacya życia.

Świat, powierzchownie nam znany, ma się tak do całkiem nieznanego, jak punkt przestrzeni do jej nieskończoności. To też o ile duma człowieka ze swej wiedzy jest najśmieszniejszem z jego złudzeń, o tyle chęć bodaj drobnego rozszerzania tego szczupłego pola — jedną z najszlachetniejszych jego ambicyj. Na nieszczęście zadawala on ją bardzo powoli. Jeżeli księgi święte spisywano na łupinie orzecha, to ziarnko grochu wystarczyłoby do pomieszczenia wszystkich pewników naukowych. Ciągle bowiem przekonywamy się, że to, co uważaliśmy za niewzruszoną prawdę, jest wątpliwem domniemaniem. Życie też nasze umysłowe — to pobyt w kruchym domku podczas ustawicznego trzęsienia ziemi. Zaledwie go naprawimy, ustawimy w nim sprzęty i zaprowadzimy jakiś ład, znowu grunt zadrży i nasza siedziba się wali. Dla tej niemocy poznawczej wielkiem świętem i tryumfem jest nietylko zdobycie jakiegoś prawa natury, ale już samo rozszerzenie widnokręgu jej zjawisk o jakąś drobinę. Zrzekamy się zbadania, czem coś jest, abyśmy tylko coś nowego stwierdzić lub obejrzeć mogli. Pamiętamy dreszcz radości, jaki przebiegł po duszach dręczonych tajemnicami istnienia, kiedy Rieman wystąpił z teoryą wielowymiarowej przestrzeni. Pamiętamy ten dreszcz, kiedy Pasteur odsłonił nam rozległą dziedzinę drobnoustrojów. Najsilniej zaś odczuwamy dotąd wrażenie, jakie na nas wywarło odkrycie promieni Roentge-

na. Były to błyskawice, rozświetlające ciemność naszej nieświadomości i ukazujące nam szereg zjawisk, których przedtem nie domyślaliśmy się.

Dogorywający nasz wiek, zwłaszcza za drugą połowę swego rozwoju, wysłuchał już dużo złorzeczeń, skarg i klątew. Powiedziano mu niejednokrotnie, że był dzikim rabusiem, niegodziwym krzywdzicielem, rozpustnikiem, wyzyskiwaczem, samolubem, głupcem itd. W każdym z tych zarzutów jest dużo prawdy, a nadewszystko w odniesieniu do najważniejszej dziedziny życia, do stosunków moralnych niewiele stuleci tak się ubrukało zbrodniami i wystroiło obłudą, jak to dziewiętnaste. Ale nie można go odsądzać bezwzględnie od wszelkich zasług i dodatniego znaczenia. Przeciwnie, należy mu przyznać, że w tej dobie wytrysło mnóstwo potężnych sił, które długo przenikać będą przyszłość.

Byłoby to zamiarem zbyt śmiałym, gdybym chciał je tu wyliczać i oceniać, pragnę wszakże zwrócić uwagę czytelników moich na kilka faktów, nadających naszej epoce całkiem odmienną fizyognomię od tej, jaką odmalował w brudnych barwach maczany pędzel *fin-de-siecle-izmu*. Wiek XIX-ty to nietylko bezwzględny starzec i bezczelny szachraj, który nurza się w rozpuście, urządza Panamy i sprawy Dreyfusa, ale to także głęboki badacz, nieustraszony bohater i czcigodny apostoł. O tym ostatnim jego charakterze szczególnie pamiętać trzeba. Osiągnięta przez ludzi rozkosz współżycia nie pozostaje do możliwej w tak odległym i nierównym stosunku, jak osiągnięta wiedza do niewiadomości. Pierwsza jest daleko większa od drugiej. Chociażbyśmy każdym ruchem myśli zdobywali jakąś wielką prawdę, chociażbyśmy z każdej minuty czasu wycisnęli tę mądrość, jaką dotychczas kroplami zbieraliśmy w stuleciach, nie moglibyśmy z tego źródła poczerpnąć zadowolenia, bo ciągle stalibyśmy nad brzegiem bezmiaru tajemnic. Natomiast dziedzina moralna, tj. sfera możliwie doskonałych stosunków życia społecznego, nie jest tak nieskończoną, od jej ostatecznych granic nie jesteśmy tak oddaleni i prawdopodobnie ludzkość dotrze do nich za istnienia swego na ziemi. O ile więc dążymy do szczęścia, mniejszą dla nas wagę ma rozwój naukowy, niż etyczny, gdyż pierwszy w najpomyślniejszych wypadkach może nam dać bardzo mało, a drugi bardzo dużo. Z tą drobną, ułamkową wiedzą, jaką człowiek już dziś posiada, mógłby on bytować znośnie; ale z tą sztuczną, potarganą moralnością, jaką obecnie łata swoje stosunki, nie wytrwałby długo. Nie lekceważąc tedy bynajmniej doniosłości odkryć, wynalazków i teoryj, któremi zbogacił nas wiek XIX, nie zapominając, że właśnie teraz trysnęło kilka nowych promieni, które rzuciły blask w ciemną otchłań zagadek natury, musimy uznawać szczególną radość z tych czystych prądów, które w bieżącej dobie dobywają się z serc i umysłów, a które usiłują oczyścić atmosferę moralną. We wszystkich bowiem brzmią wspólne nuty: czystość pobudek i sprawiedliwość czynów. Te zasadnicze tony odnaleźć możemy zarówno w najwznioślejszych wywodach, jak w najniedorzeczniejszych bredniach. Przez nie najrozmaitszymi językami wypowiada się głębokie i potężne pragnienie całej ucywilizowanej ludzkości oparcia życia na podstawie etycznej. Z gwaru egoizmów, z zaciekłej walki interesów, z szachrajstw obłudy, z chóru szatanów wydziera się ustawicznie krzyk przestrogi i nagany, zachęty i wróżby, nawołujący do niepokalanej cnoty, do szczerej miłości bliźniego, do naprawy krzywd i uśmierzenia dzikich instynktów. I w miarę jak rośnie wrzask pierwiastków złych, odzywa się coraz gwałtowniej protest dobrych. Takiego natężenia głosu ostatnich dawno już nie słyszał świat cywilizowany. Zdeptana, znieważona, pozbawiona praw moralność podniosła się ze swej niedoli i odzyskuje władzę nad umysłami, upomina się o swój tron i berło, które jej się należą w królestwie dobra społecznego.

Ten proces nie występuje dość wyraźnie śród narodów, u których owo życie ma wogóle słabe tętna. Ale tam, gdzie ono pulsuje mocno, reakcya etyczna objawia się również z wielką siłą. W Niemczech, Francyi, Anglii stanowi ona czynnik bardzo poważny. Mętne nurty bismarkizmu lub Panamy krzyżują się ustawicznie z czystymi potokami dążeń, podmywających ich brzegi i wynoszących na wierzch łotrowstwa, które płynęły dotychczas dnem zamulonem. Z coraz liczniejszych ust wyrywa się krzyk: chcemy żyć uczciwiej, chcemy dla naszych piersi świeższego powietrza, dla naszych serc czystszej krwi, nie możemy dłużej wytrwać w okadzanym zaduchu i stęchliźnie. A nie jest to czcza, pusta, wątrobiana moralistyka, jałowe kaznodziejstwo, które wlewa się w jedno ucho i natychmiast wycieka drugiem, lecz jest to ogromna potrzeba życia, warunek bytu.

I tworzy się dziwny obraz: na tle zmateryalizowania się duchów ludzkich, zgnilizny uczuć, zwyrodniałych pożądań, rozbestwionych popędów, żarłocznego sobkostwa, bałwochwalstwa dla pieniędzy, czci dla nikczemnego sprytu rysują się postacie tak czyste, jak gdyby wyszły z Chrystusowej rzeszy, wskazania tak podniosłe, jak gdyby z ewangelii wszechmiłości wyjęte. Nieraz też pytamy zdumieni: czy ten wiek, który spłodził tyle zbrodni, może być ojcem takich cnót i poświęceń? A jest nim — i to stanowi nie mniejszą jego chlubę, niż posunięcie kresów wiedzy. Najbardziej upragnionym stanem ludzkości powinien być pozytywizm nauki i idealizm życia. Cały dotychczasowy rozwój kultury postępował przeważnie w kierunkach odwrotnych: uprawiał idealizm nauki, a pozytywizm życia. Tak jest jeszcze dotąd. Ale jeżeli przeszłe stulecia pracowały nad przesunięciem dróg tego rozwoju, to obecne przyczyniło się do tego zwrotu znacznie.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Szymon Askenazy: *Ministeryum Wielhorskiego* (1815—1816). Warszawa, w księgarni Wendego, 1898, str. 75. — Generał-lejtnant Puzyrewski: *Szarża jazdy pod Samosierrą w Hiszpanii* (z rycinami i planami). Warszawa, nakł. K. Treptego, 1899, str. 48.

Przenikliwy zmysł krytyczny, posługujący się erudycyą źródłową i rozległą, nieraz wyczerpującą — oto jest znamienna cecha zdolności Askenazego, które szczególnie dobitnie występują w badaniach drobniejszych, monograficznych. Dwa niewielkie studya, jakie autor poświęcił w ostatnich czasach administracyjnemu ustrojowi Królestwa kongresowego, zlewają na kilkoletni okres porozbiorowy dziejów naszych żywe i zajmujące światło. Po finansach Lubeckiego mamy obecnie wojskowość Wielhorskiego — przedmiot prawie nietknięty w piśmiennictwie naszem historycznem. „Jest to fakt nader ważny i nauczający, a przecie prawie zupełnie nieznany — pisze Askenazy — że w Królestwie kongresowem, w ciągu piętnastoletniego politycznego bytu, jeden był tylko minister wojny i był przez niespełna pół roku.” Człowiekiem, który tę krótką rolę odegrał i z powodu jej naraził się na złe obmowy współczesnych, był Józef Wielhorski, mianowany w d. 1 grudnia 1815 r., niebawem po ukonstytuowaniu Królestwa, senatorem-wojewodą, ministrem i obdarzony jednocześnie orderem Orła Białego. Działalność jego, jako odpowiedzialnego przed sejmem członka rządu, zatargi z wodzem naczelnym W. Ks. Konstantym Pawłowiczem, małe słabostki i znacznie większe zasługi przy organizacyi armii, broszura Askenazego opowiada najdokładniej: my z niej zaczerpniemy tylko parę szczegółów życiorysowych, dających niejakie wyobrażenie o zwięzłości słowa i przedstawienia autora.

Ojciec Józefa, Michał Wielhorski, charakter niepewny, głowa chaotyczna, był najpierw narzędziem Repnina, został później posłem generalności barskiej w Paryżu i przyjacielem Jana Jakóba Rousseau. Synów kształcił po francusku, pod kierunkiem sprowadzonego na Wołyń Mably'ego. Najstarszy z nich po upadku kraju służył pod Dąbrowskim we Włoszech; jako generał brygady, szef pierwszej legii polskiej, dostał się w Mantui do niewoli austryackiej (1799), a wypuszczony na słowo, wziął dymisyę przed samą śmiertelną wyprawą do San-Domingo. Uzyskawszy od Fryderyka Wilhelma III pozwolenie powrotu do pruskiej wówczas Warszawy, zaprzyjaźnił się z księciem Józefem, wpadł w hulaszcze towarzystwo „głów mocnych” i kilka lat stracił na asystowaniu szaleństwom. Po wojnie austryackiej 1809 r. wstąpił do służby Księztwa Warszawskiego i pełnił obowiązki ministra wojny do końca r. 1811, przez całą kampanię rosyjską. Po odwrocie Francuzów podążył za armią i w Paryżu, wraz z Dąbrowskim i innymi, czuwał nad losem przyszłej siły zbrojnej przyszłego Królestwa. „Wielhorski nie ujawnił nigdy zdolności niepospolitych, wyższego polotu. Był to człowiek średniej miary — ale czysty i uczciwy, patryota szczery, żołnierz dzielny, gruntowny i na punkcie honoru niezdolny do ustępstw. Ogładzony, dowcipny a śmiały bardzo, skłonny do uniesień, w gorącej wodzie kąpany, nie umiał zginać karku przed nikim... Zniszczony przez trudy wojskowe, trochę przez nadużycia młodości, złamany podagrą, wlokący się na kulach, ale wnoszony na krześle na posiedzenia rządu, często chory obłożnie, nie wszędzie mógł dopilnować podwładnych, nadużywających jego dobroci: ale zawsze, bez względu na zdrowie, czujnie pilnował ważnych spraw swego wydziału nietylko w ciasnym zakresie zawodowym, lecz z szerszego stanowiska interesu publicznego” (str. 17). Dymisya Wielhorskiego, podpisana przez cesarza w d. 3 (15) maja 1816, przybyła do Warszawy dopiero w czerwcu; po jej otrzymaniu starzec natychmiast wyjechał na wieś, do swojego Prusinowa w Radomskiem, gdzie niedługo, „w zupełnem zapomnieniu,” życie zakończył... Nic nad to prostszego, zdawałoby się; ale oto epilog krótkiej ministeryalnej karyery Wielhorskiego—epilog, który sam autor nazwał „niespodzianym.” Jest on zarazem wielce pouczającym. Z ciężkich komplikacyj, wynikłych w wojskowym zarządzie Królestwa, skorzystać postanowiło, na swój sposób, pruskie ministeryum wojny. Wkrótce po dymisyi Wielhorskiego, król Fryderyk Wilhelm III za pośrednictwem swojego ministra wojny, Boyena, wszedł w bliskie stosunki z generałem Amilkarem Kosińskim. Przyjęty do armii pruskiej w stopniu generał-lejtnanta, Kosiński miał sobie poufnie zlecone wygotowanie projektu względem uformowania wojska polskiego w Ks. Poznańskiem... Liczono, że wobec zaostrzonych stosunków wojskowych w Królestwie, armia polska przejdzie do Prus... Projekt na razie spełzł na niczem i wojsko polskie „przeszło do Prus” dopiero w r. 1831, po szturmie Warszawy... Tymczasem ani za Wielhorskiego, ani później gabinet pruski niczego nie zaniedbał, „aby w Petersburgu ochłodzić ce-

sarza od Polaków, a w Warszawie rozjątrzyć przeciwko nim wielkiego księcia" — i nawzajem (str. 38).

Napoleon, zapewniwszy sobie na zjeździe w Europie poparcie Rosyi, przekroczył w początkach listopada 1808 Pireneje, przerżnął się przez środek wojsk hiszpańskich, których skrzydło prawe (wschodnie), zostało niebawem rozbite i rozproszone, zdobył Burgos i w końcu tegoż miesiąca był już o parę tylko dni drogi od Madrytu. Oddzielały go od stolicy wąwozy Somo-Sierry, dobrze osadzone, trudne do zdobycia w regularnym boju. Tu jazda polska — w osobach 125 kawalerzystów 3 szwadronu szwoleżerów pod wodzą Kozietulskiego — odświeżyła starą swą chwałę, zasłużoną w lepszych czasach, w godniejszych sprawach. Buletyn cesarza Napoleona z d. 5 grudnia 1808 r. (wyprawiony z St. Martin pod Madrytem, na dwa dni przed zajęciem stolicy), upamiętnił czyn ten następującemi słowy: „Szarża, jakiej dokonał generał Montbrun na czele szwadronu szwoleżerów polskich, rozstrzygła bitwę — szarża najświetniejsza, jaka kiedykolwiek była, w której pułk ten pokrył się sławą i dowiódł, że godzien jest należeć do gwardyi cesarskiej. Działa, sztandary, broń, żołnierze, wszystko to zostało zdobyte, porąbane lub wzięte. Ośmiu szwoleżerów polskich poległo na armatach, a szesnastu było ranionych. Wśród tych ostatnich kapitan Dziewanowski odniósł tak ciężkie rany, że nie ma nadziei utrzymania go przy życiu..." Kilka umyślnych błędów (jak np. o owym generale Montbrunie, który w szarży nie brał udziału), kilka legend późniejszych, wprowadzonych do opowiadania przez historyków francuskich, głównie przez nielubiącego Polaków Thiersa, przyćmiły istotną wartość faktu, nadały mu znaczenie mniej dla wojskowej dumy legionistów chlubne... Generał Puzyrewski krytycznie, na podstawie świadectw wiarogodnych, sprawę rozstrząsnął, przyznając Polakom, że niekiedy równie świetnie walczyli pod znakami ciemięzców, jak dawniej w obronie chrześciaństwa pod murami Wiednia." Można tłomaczyć, nawet usprawiedliwiać intencye tych, co ślepo szli za gwiazdą potężnego wojownika wieku, ale trudno zachwycać się obecnie nad blaskami tej gwiazdy z powodu hiszpańskich jej tryumfów, stanowiących — jak to już dziś niemylnie dowiodła i wykazała historyografia — złowrogi przełom w życiu, działalność i umyśle Napoleona: przed r. 1808 był to jeszcze geniusz jasny i światły; po r. 1808 jest to już tylko obłąkaniec ciemny, ponury, o kostniejącym mózgu, o przesilonej na nicość przezorności.

Turn.

Z DALEKIEJ ZIEMI

Kiedy zwiedzałem kraj Yorubów — pisze Jean Hess we wstępie do jednej ze swych nowel — znajdowałem przyjemność w przysłuchiwaniu się historyom, opowiadaniom i zdarzeniom, o których moi gospodarze gwarzyli podczas długich godzin wspólnego odpoczynku — dniem na przewiewnej werendzie, wieczorem zaś dokoła ogniska we wnętrzu ciepłej chaty.

Ludy te nie posiadają gazet, które co rano dostarczałyby różnych faktów i fejletonów. Jednak ta powszechna potrzeba umysłu ludzkiego znajduje u nich pewne zaspokojenie.

Dzienników i książek niema, natomiast istnieją w obfitości opowiadacze.

Dziennik i książka nie zawsze zawierają w sobie poezyę. Gawędziarze pierwotni zawsze ją posiadają. Ich powab polega na prostocie, na naiwnem a szczerem spostrzeżeniu."

I z takich naiwnych, szczerych a prostych opowiadań murzyńskich powstał zbiorek nowel Hessa *), zbiorek, w którym znać rękę stylisty europejskiego, ale który przecież pod dotknięciem jej nie utracił swojej świeżości i barwności. Wprowadzają one nas do duszy murzyńskiej, tak z pozoru odmiennej, a jednak tak podobnej! Są różnice, lecz są one skutkami posiadania innych zwyczajów, przebywania w atmosferze innych urządzeń, wyznawania innych zapatrywań na przyrodę. Przed wyobraźnią naszą przesuwają się obrazy stosunków tak odmiennych, iż trzeba mieć nieco znajomości życia szczepów murzyńskich, ażeby pojąć, że jest to nie płód rozwichrzonej fantazyi nowelisty, lecz istotna rzeczywistość.

Ta dusza murzyńska niewątpliwie jest wrażliwą, nawet bardzo wrażliwą na poezyę! I wrażliwa na piękno, zawarte w każdym wyrazów melodyjnych i w doborze porównań, przywiązuje się do swoich piewców i długo zatrzymuje ich nazwiska w pamięci.

Na wązkiej ścieżce, wśród promieni zachodzącego słońca, Hess spotyka długi łańcuch kobiet, powracających z pola. Niosą ignamy, ryż, drwa, a przedmioty te ciężarem swoim przytłaczają ich głowę. Idą przecież lekko, z gracyą, z fartuchem podjętym nad łydkami, z piersią wolną, wydatną. Śpiewają zbiorowo, melodya zaś odznacza się subtelnością i wdziękiem. Piosnka opowiada o pięknie wieczoru i radosnym powrocie do chat po pracy w polu. Głębokie poczucie przyrody rzuć w jej zwrotkach.

Hess pyta, kto stworzył tę piosenkę.

— „Akrombi!" — odpowiadają kobiety.

Wchodzi on do kuźni, siada na ławie, zapala fajkę i ofiaruje naczelnikowi-bractwa nieco tytoniu. Robotnicy wyrabiają noże, praca jest ciężką, lecz oni się śmieją. Kiedy uczują zmęczenie, siadają, nieświadomi ustawy, nakazującej wysiłek systematyczny. Śpiewają piosenkę swego zawodu. Melodya rozlega się czysta jak metaliczny a jasny dźwięk ich młotów, opiewają oni sławę swego bractwa.

„Są dobrymi kowalami, wesołymi zuchami, lubiącymi zjeść i wypić. Robią oręż dla wojaka, cacka dla kobiety. Wszyscy ich kochają i im zazdroszczą, bo są dobrymi kowalami, dzielnymi i wesołymi zuchami, lubiącymi zjeść i wypić!"

Piosnka oddawna przechodzi z ust do ust, jeszcze ojcowie ją śpiewali, a jej twórcą jest Akrombi.

Na rzece. Łódka zwolna płynie pod wodę, wzdłuż brzegów zielonych, wioślarze, potem oblani, śpiewają tonem nizkim, który wśród ciszy nocnej przybiera osobliwą barwę, jak gdyby zgłuszony. Piosnka jest długa, zwrotki kończą się chórem. Zawarte jest w niej całe życie wioślarza: jego kłopoty, uciechy i miłość, poezya długich podróży po wodzie wśród śpiewu, niebezpieczeństwa, smutek przy żegnaniu się, radości powrotu, silna i śmiała młodość, rozsądne lata starości.

Kto ułożył tę piosnkę tak ładną a poetycką? Kto wynalazł do niej muzykę? Opowiadają, że zrobił to pewien człowiek, który bardzo lubił wioślarzy, na uroczystości, jaką oni urządzili. Nazywał się on Akrombi.

Wśród dziewiczego lasu obóz myśliwych. Szałasy z chrustu i liści. Dobrzy towarzysze nie liczą kawałków mięsa gościowi europejskiemu, ani ilości soli, będącej tam zbytkiem. Po uczcie tańczą i śpiewają na cześć przybysza, stają w zupełnem uzbrojeniu, na głowach powiewają pióropusze. Widok jest straszny, zwłaszcza gdy tancerze wyszczerzą swoje duże a białe zęby. Rzucają w powietrze maczugi, oręż świszczy, kręci się i uderza o cel; strzały latają, wypuszczane z łuku. Wreszcie strzelają z fuzyj — dla większego hałasu. W słowie rymowanem opiewają swoje życie.

„Są oni wojakami wioski, polują na zwierzynę i nieprzyjaciela. Są ludźmi odważnymi, śmiało patrzącymi śmierci w oczy. Są junakami, których wszyscy się obawiają, i ludzie i dzikie bestye. Szydzą z mozołów, nie lękają się cierpień, serce ich jest tak samo twarde, jak mięśnie ich ramion. Stają się ludźmi dopiero na widok piękności kobiecej!.."

Zwrotki idą po zwrotkach, a śpiewacy nigdy nie męczą się. Gdy raz rozpoczęli, nic ich nie powstrzyma. Upajają się tą brutalną melodyą, tymi twardymi wyrazami, w których dźwięczy duma ich stanu.

Pieśń ta powstała, kiedy jeszcze noga białego nie dotknęła ich kraju, a ułożył ją sławny Akrombi, ucztując z myśliwymi z okolic Abeokuty.

Akrombi! Imię jego żyje w ustach każdego członka plemienia Egbów, niezatarte, a może coraz sławniejsze, bo w mroku jego nazwiska nikną późniejsi piewcy i lud ich twory przypisuje tylko swemu ulubieńcowi. Nawet zagadki i bajki, które dziatwa sobie opowiada, pochodzić mają od niego. On jeden wszystko stworzył, wszystkiego dokonał, prawdziwy wieszcz swego plemienia.

Tradycya zachowała imię poety i szczegóły z jego dzieciństwa, bo o dalszem życiu uporczywie milczy. Lata młode dla Akrombiego zakończyły się niepomyślnie — ojciec przeklął wyrodka i wydalił nagiego za to, że zamiast postępować jak przystało na dziecko obywatelskie, zajmuje się układaniem wierszyków. Bo i wśród Egbów, jak w każdem społeczeństwie włościańskiem, muzyką i innemi profesyami „wyzwolonemi" zajmują się żywioły wykolejone, lekceważone przez dostatnich a posiadających obywateli. Cała pogarda naszego filistra dla ludzi pióra, pędzla lub wreszcie głosu, istniejąca naturalnie dopóty, póki talent nie da któremuś z nich majątku, właściwą jest wcześniejszym okresom jeszcze w większej mocy. W plemionku murzyńskiem, w którem przyszedł na świat Akrombi, muzykami, śpiewakami i poetami są półżebracy, pół-włóczęgi, pochodzący niewiadomo skąd, jak nasi cyganie, tułający się od wioski do wioski, od plemienia do plemienia, z piosnką na ustach. Jako dziecko, przyszły wieszcz powtarzał głosy natury, odtwarzał melodyę zawartą w szmerze strumyka, w szeleście wiatru po lesie, rozmawiał ze zwierzętami. Rodzina zawyrokowała, iż bęben, który zamiast kraść owoce z pól, układa piosenki jak włóczęga, jest opętany przez złe duchy. Zaprowadzono go do znachorów, lecz ich zaklęcia okazały się bezskutecznemi. Postawiono go przed oblicze monarchy: ale malec zamiast ulęknąć się, zaczął zadawać monarsze zagadki. Przyrzekł mu przestać na zawsze śpiewać, jeśli władca odgadnie, kto jest tak śmiałym, ażeby chciał i patrzeć na króla jedzącego i nawet pić z nim z jednego naczynia. Patrzeć na jedzącego władcę uchodzi u ludów senegalskich za wielką zbrodnię.

— Nikt mnie nigdy nie widział jedzącego, ani nikt nie pije ze mną!

— Jesteś w błędzie — odrzekł malec — kiedy będziesz sam w izbie i ukryjesz się przed wzrokiem wszystkich, spojrzysz wtedy w naczynie, ujrzysz tam muchy. Są to małe stworzonka, przecież ośmielają się pić z tobą."

Po jednej zagadce nastąpiła druga;

— „Ty jesteś wielkim panem, największym ze wszystkich, naczelnicy kraju są twymi niewolnikami, wszystkich czoła pochylają się na twój widok. Znam jednak kogoś przed drzwiami twego pałacu... Nie kłania się tobie... Czy spostrzegłeś go?

— Zaraz wydam rozkaz zatrzymania go i ukarania.

— Nie potrzeba! To strumień, który bieży, śpiewa i nie kłania się możnym!"

Malec nie poprawił się. Ojciec wysyła

*) Jean Hess: *L'âme nègre*, Paryż, Calmann Levy.

go z domu swego, kładąc mu w uszy morały, iż nie powinien przynosić wstydu rodzinie i zajmować się figlami i kuglarstwami godnemi włóczęgów z obczyzny i synów nierządnic. Poprawa nie nastąpiła. I w sercu ojca zakrada się niechęć dla wyrostka, kompromitującego jego dobre imię: w umyśle pojawia się podejrzenie, czy ten wyrodek jest jego synem. Żona, dzisiaj nieżyjąca już, była zawsze wierną, pełną poczucia swoich obowiązków. Ale któż wie?.. Są wyrzutki bez sumienia i wiary, włóczący się po wioskach. Posiadają oni na rozporządzenie swoje złote wyrazy, zadające cios nawet cnocie najlepszej małżonki: oczy ich umieją opętać i dziewczyny i matrony, które oddają im się w polach i na ścieżkach, gdy powracają z pól. Ci muzycy bezbożni, niemający rodzinnego kąta, bez ojczyzny, rozpraszają swe przeklęte nasienie nawet w ogrodach najlepiej strzeżonych. Po chwili dalej puszczają się na tułaczkę, pozostawiając spuściznę nieznaną. Ale płód ich podłości wzrasta i wstyd zaczyna przynosić uczciwemu domowi.

A kiedy wyobraźnię ojca trapią podejrzenia i myśli ponure, Akrombi, otrzymawszy naganę, układa w obecności swego rodzica na polu satyryczną piosenkę na niego i śpiewa ją głośno:

„Zaprawdę Wonia nie jest podobny do innych ludzi. Ażeby zebrać bób, czeka, aż słonko wysuszy wszystko na polach. Inni przychodzą rankiem, kiedy rosa nocna wisi jeszcze na strąkach. Ze strąkami zbierają oni i ziarnka.

„Ale mądry Wonia posiada inne gusta. Lubi on łupinę, nie zaś ziarnka. Dlatego na pole przychodzi w południe, gdy słońce wszystko wysuszyło! Wonia do swego koszyka zbiera łupiny i na ziemi dla szczurów pozostawia ziarna.

„Zaprawdę Wonia, wielki Wonia nie jest podobny do innych ludzi!“

Tego było zawiele. Wonia wygania wyrodnego syna z domu. Gromadzi wszystkich domowników, odbiera Akrombiemu odzież i ozdoby:

„Rzeczy te były rzeczami mego syna, ale ja nie mam już syna! Palę je i ich popiół rzucam na wiatry wszystkich stron świata. Niech zginą wszelkie dowody mojej troskliwości, niech zamilknie imię i pamięć dziecka, które tak ukochałem. Tego dziecka niema!... Odebrałem mu ubranie, które dałem kiedyś mojemu synowi i pozostawiam nagiego, jak niewolnika prowadzonego na rynek. Nikt z domowników moich nie powinien dać mu schronienia. Kiedy głodny zbliży się do garnków, niech mężczyźni podniosą się i kijem nauczą go niepokazywać się więcej. Kiedy spragniony będzie krążył w pobliżu naczyń z wodą, niech będą psy puszczone! Przeklinam go! Niech kukurydza i ignamy zamienią się w najgorsze rzeczy, gdy on je dotknie. Niech czysta woda strumieni stanie się trucizną i bardziej smrodliwą, niż ścieki, kiedy on nad nią pochyli się! Niech będzie wiecznym żebrakiem przydrożnym, na widok którego i dzieci i kobiety się chowają! Niech...“

Urywamy litanię przekleństw, które są nieco za nieprzyzwoite dla bardziej wysubtelnionego zmysłu europejskiego. Akrombi nagi znalazł się pod otwartem niebem. Na szczęście było to ciepłe niebo afrykańskie. Sprawił sobie fartuch z liści i puścił się w świat, a że nie zginął o tem świadczy popularność jego imienia wśród rodaków i uwielbienie dla wieszcza. Ale tradycya milczy o losach późniejszych poety. Wie tylko tyle, że wolał przestawać z ubogimi, niż z bogaczami, którzy ubiegali się o to, ażeby Akrombi zechciał śpiewem rozweselać ich uczty. Tradycya jeszcze i to zanotowała, że kobiety bardzo kochały poetę i że jedna z wielkich Aspazyi stolicy egdańskiej, córka króla, która z mężczyzn robiła co jej się podobało, była wobec wieszcza jak ostatnia służebnica, niemająca wolności. I jeśli lud umie wskazać wioskę, w której przyszedł na świat Akrombi, milczy o jego śmierci i mogile. I ma słuszność. Akrombi żyje...

Takim jest koloryt nowelek, zebranych w *Duszy murzyńskiej*: prostych, oryginalnych, jak niebo afrykańskie i jak byt społeczny murzyna.

K. R. Ż.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ROSYJSKA

I.

Antoni Czechow.

Gdy przed kilku laty pisałem w *Prawdzie* o Czechowie, jako początkującym noweliście, na którego jeszcze krytyka w jego własnem społeczeństwie nie zwróciła uwagi — zdawało mi się, że to będzie talent, który wzrośnie i nabierze mocy bardzo szybko. Przypuszczenia nie zawiodły. Dziś pisarz ten jest w całej pełni wielkiego i niepospolitego talentu. W dziesięciu tomach zamknął on przeszło sto utworów drobnych i dużych. Ale nie ilością tomów mierzyć będziemy wartość jego pióra. Małe, lecz prawdziwe perły są szacowniejsze, niż olbrzymie muszle z zawartością ślimaczą. Maupassant wyrobił sobie sławę wszechświatową drobnymi utworami. Alfons Daudet, zanim napisał głośne romanse, zjednał już uznanie jako autor „Contes de Lundi.“ Sienkiewicz przed trylogią historyczną porywał szerokie masy czytelników „Szkicami węglem,“ „Za chlebem“ itd.

Czechow nie jest ani Maupassantem, ani Daudetem, ani Sienkiewiczem z doby przedpowieściowej. W zasadniczych zaś cechach swojej twórczości różni się znacznie od Garszyna i Korolenki. Gdy mu z pod pióra płynie satyra, wysnuta z tematów szczedrynowskich, znać w niej siłę gryzącą, ale niema Szczedryna. W plastyce obrazów przyrody niekiedy dorównywa Gogolowi. Nie rozsnuwa wszakże tego tła zbyt szeroko i często, nie jest takim specyalistą malarzem, jak Turgieniew. Ale w panoramach, rzucanych mimochodem, dosięga, jak Korolenko, wysokiego artyzmu. Tło przyrody zlewa się u niego nietylko z akcyą, lecz harmonizuje często z nastrojem duszy, z danym momentem psychologicznym bohatera:

„W polu była istna wojna. Nie wiadomo, kto kogo usiłował ze świata usunąć i dla czyjej zagłady ta burza szalała w przyrodzie. Ten jednak zgiełk nieustanny mówił, że komuś jest źle. Jakaś siła zwycięzka ścigała kogoś po polu, szalała w lesie i na dachu cerkiewnym, gniewnie stukała w okno, miotała i szarpała, a coś zwycię żonego wyło i płakało. Płacz żałośny słychać to za oknem, to nad dachem, to w piecu. Dźwięczały w nim nie wzywania na pomoc, lecz smutek i świadomość, że już zapóźno, że niema ratunku... Na ziemi była odwilż, ale niebo przez ciemną noc nie widziało tego i ile tylko starczyło sił, sypało na powierzchnię topniejącą płatki nowego śniegu. Wiatr kręcił się jak pijany. Nie pozwalał temu śniegowi spadać na ziemię, miotał nim w ciemnościach jak chciał.“ („O zmierzchu,“ „Wiedźma“). Czytając ten obraz, widzimy i odczuwamy ową siłę, której autor dał tchnienie życia i rzucił na jej pastwę podróżnego. Dalej, czujemy wraz z owym podróżnym, chłód w sobie i widzimy w ciemności tę burzę śnieżną. A oto inny urywek z obrazu ponurego, lecz bardzo plastycznego: „Podróżni dawno już idą, ale w żaden sposób nie mogą zejść z niewielkiego szmatu ziemi. Przed nimi z pięć sążni błotnistej, czarno-brunatnej drogi, za nimi tyleż, a dalej, gdzie tylko spojrzeć, nieprzejrzana ściana białej mgły. Oni idą, idą, ale ziemia ciągle ta sama, ściana nie przybliża się... Brzózka coś szepnie resztkami swych żółtych liści, jeden listek zerwie się i leniwie poleci ku ziemi. Na trawie wiszą matowe, niedobre łzy. To nie łzy cichej radości, jakiemi płacze ziemia, witając słońce letnie i kąpiąc się w jego promieniach. To nie łzy, któremi tu ziemia o świcie poi przepiórki, derkacze i długodziobie bekasy...“ („O zmroku“: „Marzenia“). Na takie smutne szare tło autor rzucił trzy postacie, również smutne, szare, zupełnie zharmonizowane z tą przygniatającą, łzawą, mglistą naturą: dwu konwojowych (setników) i włóczęgę „niepomnego.“ Ten marzy o wolnych, dzikich obszarach syberyjskich, gdzie jego dusza włóczęgoska, wyrwawszy się z niewoli, odetchnie swobodnie. Marzenia swoje głośno wypowiada. Setnicy zamyślili się. „Przyjemnie marzyć o szerokich, wartkich rzekach z krętymi brzegami, o lasach nieprzebytych, o stepach bezgranicznych... Wczesnym rankiem, gdy z nieba jeszcze nie zniknął rumieniec zorzy, na bezludnym, urwistym brzegu posuwa się człowiek. Odwieczne, masztowe sosny, skupione po obu stronach rzeki, surowo patrzą na wolnego i ponuro mruczą. Korzenie, skały i krzaki kolczaste zagradzają mu drogę: ale on silny ciałem i rzeźki duchem, nie boi się ani sosen, ani kamieni, ani swojej samotności, ani głośnego echa, powtarzającego każdy krok.“

Z tłem przyrody zlewa się dusza ludzka: a dalej autor chwyta i niespodzianie rzuca na to tło silne momenty psychologiczne. Brutalna prostota chłopów wpada jak kamień do duszy znękanego i rozmarzonego skazańca: „Nie dojdziesz ty! Spojrz na siebie: skóra i kości. Umrzesz, bracie! — Naturalnie, umrze — podchwytuje drugi — w szpitalu go umieszczą. Niepomny z przerażeniem patrzy na złowieszcze, obojętne twarze konwojowych, drży i kurczy się jak gąsienica nadeptana.

Taką brutalność prostoty względem ludzi słabych, bliskich śmierci, spotykamy i w innem miejscu, gdy konającemu na suchoty żołnierzowi, który z dalekiego Wschodu wracał okrętem, marząc o stronach rodzinnych, mówią bez ceremonii, że umrze, zanim dojedzie („Gusiew“).

Niepospolitym darem autora jest otwieranie dusz prostaczych. Umie on zaglądać do ich głębi, wydobywać z nich na szarzyznę i obojętność życiową wstrząsające dramaty. Przytem prostota obrazów potęguje napięcie dramatyczne. Podchwytywanie takich momentów, to jedna z niepospolitych cech talentu Czechowa. Dorożkarz, który stracił syna, szuka ulgi, chce się podzielić swoją boleścią z pasażerami. Obojętność podróżnych, otoczenie gwarnej, sypiącej połajankami ulicy, silnie zarysowuje kontrast i uwydatnia tę biedną duszę zbolałą, tonącą w morzu chłodu i wszelakiej nędzy życiowej. On się chce skarżyć, szuka choć jednego w tych tysiącach, ażeby go wysłuchał i ulgę mu sprawił, ale tłumy spieszą, nie spostrzegając ani dorożkarza, ani jego smutku. A smutek ten ogromny, bezgraniczny. „Gdyby pękły piersi Jony i wypłynął z nich ten ból, to zdaje się zalałby cały świat. A jednak nie widać go. Usadowił się w tak nędznej łupinie, że nie można go nawet w dzień dojrzeć ze świecą...“

Na Syberyi w nocy u przewozu rzecznego widzimy dwu skazańców. Jeden stary, który przez długie doświadczenie życiowe potrafił wyrobić sobie obojętność na cierpienia moralne, przystosował się do warunków: drugi — młody, 25-letni Tatar. Spojrzał na niebo. Gwiazd tak samo dużo, jak w domu, taka sama ciemność dokoła,

ale czegoś brak. W domu zupełnie inne gwiazdy i niebo. Skarży się przed starcem, opowiada, że tam zostawił piękną, młodą żonę. — A na co ci żona? Dyabeł cię kusi? Oprzyj mu się: nie chcę, nie pragnę! Tak na wszystko odpowiadaj. Niema ani matki, ani ojca, ani żony, ani swobody, ani domu, ani koła! Nic nie trzeba!.. Sztuczne odrętwienie starego katorżnika nie oddziaływa na Tatara. Nie przekonywa go także ciągle powtarzana pociecha: „Przywykniesz!“ Na obojętne traktowanie przez starca czyjegoś bólu, Tatar woła w uniesieniu: „Tamten dobra dusza, a tyś zwierzę, tyś zły. Tamten żywy, a tyś zdechły. Bóg stworzył człowieka, żeby był żywym, żeby była i radość, i smutek, i cierpienie, a ty niczego nie pragniesz, więc tyś nieżywy, kamień, glina!..“ Przewoźnicy i stary Siemion poszli do izby, Tatar został przy ognisku. Wtem ciszę rozdarł jakiś głos, podobny do wycia psiego.

— Co to?

— Tatar płacze.

— A to dziwak!..

— Przywyknie!..

W tych kilku zrutach, w tej rozmowie i płaczu wygnańca na tle ciemnej nocy syberyjskiej, autor potrafił uwydatnić wielki dramat życia. Takimi drobnymi obrazkami, których jest sporo, takiem wydobywaniem bólu z głębi tych dusz, pokrytych na wierzchu szarzyzną i obojętnością, autor umie chwytać za serce i szczerze wzruszać czytelnika.

Inny charakter noszą obrazki, zabarwione satyrą lub sarkazmem społecznym. Sarkazm ten bywa niekiedy tak poważny, że przez niego przebijają się mimowoli westchnienia i współczucie autora. I tu umie on potęgować efekty dramatu. Przed obliczem sądu staje człowiek, oskarżony o zamordowanie małżonki. Na tle obojętności apatycznych sędziów, którzy po cichu rozmawiają z sobą o rzeczach prywatnych i automatycznie zadają pytanie — ważą się losy ludzkie. Oto na człowieka, może niewinnego, za chwilę spadnie długoletnia katorga. Jeszcze chodzi o jeden dowód: siekierę, którą popełniono morderstwo. — Niech mój syn powie! — zwraca się oskarżony do żołnierza konwojowego, który go strzeże. Ten fakt robi na obecnych w sądzie silne wrażenie: konwojowy synem więźnia! Ale rutyna i surowość każą przestrzedz oskarżonego: „Ze strażą nie wolno rozmawiać!..“

Inna scena w sądzie: Oskarżonym jest chłop, który nie wie, za co go przyprowadzono. Sędzia zarzuca mu, że odkręcał śruby od szyn na plancie kolejowym; on się przyznaje dobrodusznie, bo mu taka śruba potrzebna była do sznura, którym się mierzy głębokość wody. Taki przecież jest zwyczaj w całej wsi! Sędzia jednak czyta mu wyrok, skazujący go do ciężkich robót za zamach na pociąg. Chłop rozgoryczony złorzeczy sądowi, nie rozumiejąc swojej winy i przypuszczając, że go za zaległe podatki tak niesprawiedliwie skazano.

Już nie sarkazm, ale wesoła, pogodna satyra przegląda z utworu p. t. „Zapałka szwedzka.“ Gorliwi przedstawiciele sprawiedliwości i porządków na prowincyi, poszukują młodzieńca, który tajemniczo zginął. Po zapałce szwedzkiej jeden z subtelnych poszukiwaczów dotarł do sklepiku, z którego sprzedano *corpus delicti*, a następnie — do pewnej damy, wrzekomej zbrodniarki. Znaleziono tam istotnie zaginionego, ale cieszącego się dobrem zdrowiem, gdzie spał, jadł, pił i napawał się miłością potajemną.

Wyborny i pełen satyrycznego humoru jest obrazek, którego bohater — handlarz wołów, musi na długiej przestrzeni kolejowej zwalczać różne przeszkody, zatrzymujące pociąg. Wie on, że koła wtedy szybko się poruszają, gdy są smarowane. To też smaruje... banknotami, aż do samej stolicy.

Autor czasem schodzi na najniższe szczeble hierarchii biurokratycznej i tam zagląda do tego drobiazgu, który całe życie musi pozostawać na dnie, żywić się mułem, napełniać nim serce, umysł i duszę mizerną I taki drobiazg, bez protekcyi, bez wszelkich kwalifikacyj umysłowych i moralnych, marzy o wyższych szczeblach; ale jak marzy, o jakich drogach myśli?! „Ukraść cokolwiek? Przypuśćmy, że to nie trudno; ale schować trudno. Do Ameryki, powiadają, uciec można, ale dyabli wiedzą, gdzie ta Ameryka! Żeby ukraść, to przecież także trzeba mieć wykształcenie... Może denuncyacyę napisać? Oto Proszkin tak zrobił i poszedł w górę.“ Biedak i z tej drogi nie mógł skorzystać. Denuncyacyi nie potrafił napisać!...

Sarkazm bywa nietylko w samej treści obrazów. Czasem płynie on z ust postaci wtrąconych mimochodem do opowiadania: „Żyta i pszenicy mamy w Rosyi dosyć, ale nie mamy ludzi kulturalnych“ — ktoś woła. „Skarbu nie okradłem — mówi podróżny trzeciej klasy okrętowej; — obcoplemieńców nie wyzyskiwałem, przemytnictwem nie zajmowałem się, nikogo nie zaćwiczyłem na śmierć, a więc czy mam prawo siadać w pierwszej klasie, a tem bardziej zaliczać siebie do inteligencyi rosyjskiej? . “

Satyra i humor szczery tryska nieraz z obrazków anegdotycznych, jak np. śmierć urzędnika. Umiera on z rozpaczy, że w teatrze kichnął na przedstawiciela starszyzny i potem niezręcznie, natarczywie przepraszając, ściągnął jego gniew na siebie. Albo znowu spotkanie dwu nauczycieli z pożyczanymi orderami na obiedzie proszonym.

Sporo jednak obrazków z charakterem anegdotycznym nie posiada wielkiej wartości. Znać, że były pisane na deser dla czytelników gazety. Nie należało ich utrwalać w książkach.

Zenon Piętkiewicz.

LITERATURA ANGIELSKA.

Edmund Gosse: *Walt Whitman* (Critical Kit-Kats).

Jeżeli jest prawdą — pisze Edmund Gosse — iż wszyscy ludzie wybitni są trochę podobni do zwierząt, to Walt Whitman przypominał kota — starego pysznego angorę — pogodnie spoczywającego w fałach siwych swych włosów z oczyma pogrążonemi w śnie niezgłębionym.“ Podobieństwo było tak rażącem, iż inni porównywali go do lamparta. Otóż wspaniały ten zwierz ludzki dotychczas pozostaje zupełnie prawie niezbadanym, a droga do jego jaskini usianą jest kośćmi krytyków. Znajdujemy się tu, istotnie, wobec jednego z najczystszych okazów żywiołowej potęgi twórczej, która tak rzadko w ludzkości wybucha.

Urodził się 31 maja 1819 r. w West-Hills około New-Yorku. Był synem stolarza—mistyka i kwakra. Dalsi jego przodkowie ze strony ojcowskiej i macierzyńskiej byli rolnikami, wsłuchanymi w głosy natury i w głosy wewnętrzne sumienia: wszyscy odznaczali się charakterem głęboko religijnym. Do trzynastego roku życia Walt uczęszczał do szkoły w Brooklynie, później oddano go na naukę do drukarni, gdzie przebył trzy lata, poczem uciekł i rozpoczął życie włóczęgi. Przechodził z miejsca na miejsce, przyjmując obowiązki bądź nauczyciela wiejskiego, bądź robotnika drukarskiego. W dwudziestym roku życia zaczął nawet wydawać pismo tygodniowe, które niebawem upadło. Osiadł ostatecznie w New-Yorku, spędzając czas w towarzystwie złodziejów, żebraków i prostytutek. To dziecko natury tylko śród tych wyrzutków społeczeństwa czuło się sobą. Należy dodać, iż Whitman przez całe dwanaście lat takiego życia pozostawał skrupulatnie uczciwym, pracując, jako drukarz. Pocieszał i ratował nieszczęśliwych, w których towarzystwie mu było dobrze.

Wreszcie pobyt w New-Yorku zbrzydł mu również jak praca regularna. Udał się w długą, czteroletnią podróż, obszedł pieszo wszystkie stany, przebywając wciąż na łonie przyrody lub w towarzystwie ludzi prostych. Podczas tej włóczęgi, przerywanej tylko pracą po drukarniach, napotykanych w drodze, dla zarobienia na życie, napisał pierwszą swą książkę „Listki trawy.“ Sam ją wydrukował i wydał w r. 1855. Książka ta wzbudziła w kraju całym jeden wielki okrzyk gniewu i oburzenia. Tylko Emerson oświadczył, iż „Listki trawy“ są największem i najoryginalniejszem dziełem, jakie Ameryka dotychczas wydała.“

Istotnie, znajdujemy w nich, w zarodku, wszystkie kierunki, które później w literaturze wszechświatowej miały zapanować. Walt Whitman jest właściwym ojcem naturalizmu: nikt z większym zachwytem nie przedstawiał natury w całem jej obnażeniu, nikt nie pisał wspanialszych hymnów na cześć miłości, pojętej jako zwykły akt reprodukcyi. Natura jest dla niego święta we wszystkich swych objawach. Jakąż jednak głęboką, panteistyczną poezyą tchnie jego szał miłosny! Zdaje się chwilami, iż chciałby całą naturę pochwycić i zwęglić w swych objęciach. Oto np. wezwanie do Nocy i do Ziemi:

„O nocy z obnażonemi piersiami! Magnetyczna, wspaniała nocy!
Nocy wiatrów południowych! Nocy szeroko rozpostartych gwiazd!
Cicho śniąca nocy! Szalona, naga, letnia nocy!
Uśmiechaj się, o rozkoszna, chłodno-dysząca ziemio!
Ziemio drzemiących i przejrzystych drzew!
Ziemio zaszłego słońca! Ziemio gór niewyrażnych!
Ziemio pokryta niebieskawym blaskiem pełnego księżyca!
Ziemio światła i mroków, ziemio płynących wód,
Ziemio szarych obłoków, wraz jaśniejących dla mnie!
W dal rozpostarta, bogata, błogosławiona Ziemio!
Uśmiechaj się, gdyż twój kochanek nadchodzi!“

Whitman jest kochankiem ziemi. Czyż może być naiwniejszy, ale bardziej rozkoszny zachwyt?

Wiersze te są daleko jeszcze niezgrabniejsze w oryginale, niż w tem niezgrabnem tłomaczeniu. Ale Whitman miał właśnie na celu „wyzwolenie“ wiersza od wszelkich pęt rytmu i rymu — czem znowu wyprzedził swój czas o całe pół wieku, gdyż to samo dążenie czuć się daje śród poetów współczesnych. Właśnie ta prostota i niezgrabność wiersza w zupełności się nadaje do tych hymnów naiwnych człowieka pierwotnego, jakim był Whitman. Nie zwraca on najmniejszej uwagi na wszystkie ustalone reguły prozodyi.

Nareszcie Whitman był pierwszym ze współczesnych pisarzów, który wprowadził kult swego „ja,“ nietylko swego ducha, ale i ciała. Mówiąc o sobie, nie powiada „my,“ ani nawet „ja,“ ale wprost Walt Whitman i przedstawia nam szczegółowo wszystkie fazy swego rozwoju: naiwnie się zachwyca swem zdrowiem, swem pięknem, swą genialnością. Dodajmy także, iż dzieła jego tchną duchem czysto demokratycznym, miłością bliźnich i współczuciem. Ma on wiarę nienaruszoną prostaka w postęp, w naukę: telegraf, telefon, koleje żelazne, wystawy powszechne — oto ulubione przedmioty jego hymnów. Są to zachwyty naiwne człowieka pierwotnego wobec cudów cywilizacyi. Nikt też lepiej nie wyraził głębokiej poezyi wielkich stepów, rzek i borów Ameryki. Podczas wojny secessyjnej Whitman spę-

dził trzy lata po szpitalach, spełniając z zamiłowaniem i zupełnem oddaniem się rolę siostry miłosierdzia. Gdzie tylko mógł, niósł pomoc i pociechę. W uznaniu zasług dano mu drobny urząd, który zachował aż do r. 1873, gdy został tknięty paraliżem. Od tego czasu miał jedną stronę ciała zupełnie znieczuloną. Przeniósł się do Camden, w New-Jersey, i był tak ubogi, iż przyjaciele kilkakrotnie urządzali dlań składki publiczne. Jedyną jego radością było widzieć swe nazwisko, wydrukowane w dziennikach, które o nim pisały. A pisano bez końca: dyletanci wszelkiego rodzaju, anarchiści, księża, emancypantki, ludzie przekonań i obozów najbardziej odległych, uznawali go za boga, poczem odwracali się odeń z obrzydzeniem, aby powrócić następnie z powiększoną namiętnością. Istotnie, Whitman jest zjawiskiem zupełnie zagadkowem i niezrozumiałem. Jest to otchłań niezgłębiona, wspaniała, wzbudzająca zawrót głowy, ale z której dobywają się zarazem cuchnące wyziewy.

Gosse stawia następującą teoryę dla objaśnienia wpływu olbrzymiego, który Whitman wywiera: niema właściwie realnego Whitmana, jako figury literackiej określonej wartości i charakteru. „Whitman jest rodzajem *bathybiusa*, jest on literaturą w stanie protoplazmy, organizmem umysłowym tak prostym, iż odbija natychmiast wrażenia wszystkich istot, które doń się zbliżają.“ Dlatego też każdy krytyk i czytelnik odnajduje w Whitmanie siebie samego. Tylko to, zdaniem Gosse'a, wytłomaczyć może rosnący wciąż wpływ jego pism. Nikt nie jest w stanie wytłomaczyć tajemniczego ich czaru, który jest niewątpliwy i pozostaje, pomimo iż kompozycya, budowa, składnia — słowem wszystkie wymogi literackie są na każdym kroku naruszone. Czytanie Whitmana sprawia wrażenie wyprawy do olbrzymiego, dziewiczego boru. Musimy w zupełności doń się zastosować. Są tam samotnie, świeże powietrze, dzikie krajobrazy i nawet płynąca woda, ale jeżeli chcemy korzystać z niej, musimy przynieść własny swój kubek. Ci, co przyzwyczajeni są do komfortu umysłowego, niechaj lepiej nie wybierają się na tę wycieczkę.

Najwybitniejszym rysem pism Whitmana jest ich nagość — zachwyt czystą naturą ludzką, pozbawioną wszelkich więzów społecznych i cywilizacyjnych. Już Rousseau, zwłaszcza w swoim „Discours“ stanął w obronie tej nagości pierwotnej człowieka. Ponieważ natura zrobiła człowieka szczęśliwym i cnotliwym, a społeczeństwo czyni go nędznym i zepsutym, należy więc uwolnić go od wszelkich konwenansów i niechaj sobie biega po lasach i tarza się nago w trawie. Walt Whitman posuwa się dalej jeszcze w tym kierunku. Niema on tej niespokojnej żywości umysłowej, tego ognia, tej nienawiści zła społecznego, które charakteryzują filozofa francuskiego. Odznacza się głównie prostotą i zaprzeczaniem wszystkiego, co sztuczne i złożone. Jest to istota ściśle spostrzegająca i głęboko czująca — o myśli dziecinnej. Przypomina sobie swe wrażenia jedne po drugich, bacząc tylko na to, aby je przedstawić w prawdziwej ich formie, bez draperyi i retoryki. Czar jego w tem właśnie się zawiera, iż spostrzega i opisuje wszystko bez uprzedzeń — każdy czytelnik odnajduje w jego pismach odbicie części siebie samego. Dodajmy, iż rapsody Whitmana zawierają w sobie ten tajemniczy czynnik wieczności, który stanowi prawdziwą poezyę. Tajemniczy ten czynnik jest zdolnością syntezy i chwytania całości. Istotnie, jak zrozumieć inaczej, iż ten człowiek bez wielkiego ukształcenia — do szkół uczęszczał tylko w dzieciństwie — czuje potrzebę zestawienia siebie ze wszechświatem, rzucania spojrzeń orlich na ziemię całą? Weźmy przykład:

Co widzisz przed sobą Walcie Whitmanie?
Komu się kłaniasz i kto ci się odkłania?
Widzę wielką kulę toczącą się w przestrzeni,
Widzę na jej powierzchni wioski, cmentarze, więzienia, pałace, lepianki, barbarzyńców i namioty wędrowne,
Widzę z jednej strony część pogrążoną w mrokach, a z drugiej — oświetloną słońcem.
Widzę dziwne i milczące zmiany światła i cienia.
Widzę kraje odległe tak realnie, jak własny mój kraj.
Widzę olbrzymie wody oceanów.
Widzę szczyty gór, Andy, Himalaje, Elbruz, Kazbek — itd.

Skąd się bierze w tym ubogim drukarzu to tchnienie miłosne ku ziemi całej, którą chciałby uścisnąć, jak kochankę? Żaden z pisarzów naszego wieku oczywiściej nie uzasadnia naszej teoryi, według której poeci są niedobitkami reproduktorów pierwotnych ludzkości. Istotnie, czemuż natura nie mogłaby dać nam tu początków fizyologicznego podziału pracy, w rodzaju tego, jaki widzimy w mrowiskach lub ulach?

Ta hypoteza objaśnia nam i syntetyczne poloty Whitmana i jego zmysłową brutalność, lubowanie się w nagości, we wszystkiem, co zakazane, tajemnicze i występne, gdyż społeczeństwa dążą właśnie od wieków do wytępienia tego rodzaju typów — i jego egoizm i samochwalstwo, idące w parze z potężną miłością ludzi. Zgadzamy się z Gossem, gdy powiada, iż „w Whitmanie otrzymaliśmy od Świata Nowego jednego z największych poetów naszych czasów,“ ale nie sądzimy, żeby zagadka była rozwiązana określeniem jego pism, jako „poezyi w rozczynie, bezpostaciowej, nieskrystalizowanej.“ Rys ten niewątpliwie istnieje, ale jest on dla Whitmana najbardziej charakterystycznym. Co nas głównie w nim uderza, to żywiołowa, fizyologiczna potęga twórcza, która pociąga za sobą, jako atrybuty, twórczość umysłową, zdolność syntezy, piękno przyrodzone i pewną przebiegłość, czyli elastyczność moralną.

Dr. L. Wirski.nia

PRZEGLĄD TEATRALNY.

DZWON ZATOPIONY.

Gwiazdo spadająca!
Jaki szał
W otchłań cię strąca!
Z Improwizacyi.

Z miłości, pokory i wierzeń gminu ulał odlewacz Henryk dzwon, który miał dzwonić Bogu, jemu i ludowi. Dzieło powstało w dolinach życia i dolinom dzwonić miało. Ale uszczęśliwieni prostacy niestety nie umieli, przeceniając siebie i swój nizki świat, że dzwon ten, wydźwignięty na wyżyny, ozwie się potężniej, niż tam, gdzie powstał. I ruszyli tedy ku onym wyżynom a za nimi, ze ściśniętem sercem, kroczył odlewacz, bo jakieś bolesne przeczucie kłało go w serce, że to nie skończy się dobrze. I zaiste! Nim dźwignęli go do połowy onych wyżyn, strzaskało się koło, niedołężny wóz przechylił się a dzwon, ten dzwon, ta nadzieja odlewacza i jego ludu, runął niby masa bezwładna, potoczył się po zboczach, plusnął w wody jeziora i przepadł na dnie, pogrzebany w mule.

Na szczytach! Nie! Ludzkie dzieło potrzebuje rezonansu, jaki dają doliny! Co ów proboszcz gadał?!... Na szczytach, pod rezonansem kopuły niebios, tam przemawiają tylko gromy, natura, Bóg! Runął za swem ludzkiem dziełem odlewacz nieszczęsny, stoczył się na kilkanaście sążni po spadach, zemdlał a przyszedłszy nieco do siebie, zaczął patrzeć i nasłuchiwać. Co tu na tych wyżynach przemawia? Kto tu na onych wyżynach mieszka? Legendy ludu bajały o tym świecie niestworzone rzeczy. Legendy owe napełniły bory i szczyty tłumami nieczystych duchów. Nieczystych?! Słucha, patrzy, oddycha. Dobroczynna ręka jakiegoś tworu tej natury uzdrawia go, odmładza. Widzi nieznany, tajemniczy świat, nowy, inny, potężny. A zarazem budzi się w nim gorzkie wspomnienie tego, co tam w dole było. Tu, tu zbada naturę, wydrze z jej łona zagadkę, wysnuje z niej dzieło! Tam w dolinach — cóż miał?!... Nizkie, płaskie życie, żona, dzieci, tłum, odlewanie nikłych dzwonków-sygnaturek, potęga i pycha pawia! Precz, precz z tem wszystkiem! Na wyżyny!

I nieszczęsny odlewacz porzucił żonę, porzucił dzieci, porzucił lud, sunąc ku onym wyżynom, gdzie przemawiają tylko gromy, natura, Bóg. Nie wiedział nawet, co tam zdziała, nie dbając o słuchaczy: pogrążył się jeno w naturę a w chwili owego pogrążenia zdało mu się, że teraz jest nietylko szczęśliwym mistrzem, ale szczęśliwym i mistrzem!

Podeptane doliny bytu, oplwane ich prawa, krzywda, zwykła ludzka krzywda — to wszystko zakamieniało serce mistrza. Niech ich Bóg pociesza! Ludzkość wysyła do niego swego przedstawiciela i upomina go. Niestety, mistrz i przedstawiciel ludzkości mówią do siebie dwoma różnymi językami. Mistrz przestał rozumieć ludzkość a ona jego. Ludzkość odwołuje się tedy do praw zasadniczych. I ty, dumny, runiesz, sam siebie powalisz, coś w tobie się odezwie, czego nie przytłumisz, boś także człowiek. Własne twe dzieło, zatopione dziś, w przyszłości wypłynie i zadzwoni ci przypomnieniem tego, coś zdeptał i oplwał! Ty chcesz być mistrzem, ty grzeszny?!... A głos Satyra woła; mistrz zrobił sobie z natury przybytek Baala! Na łożu rozpusty leży mistrz Henryk! Nie myśli o niczem mistrz Henryk!...

Ale mistrz Henryk boryka się jednak. Sokolim szponem umysłu zmusza niektóre siły przyrody do wyjawienia mu swych tajemnic. Śni o takiem dziele, któreby dorównałoby potędze żywiołów! Śni o tem dziele dla siebie i może jeszcze dla Boga! Głupi, zapomniał, że gdyby Bóg takiego głosu od niego wymagał, to uczyniłby go chmurą, wyrzucającą ze swego łona pioruny! Karzeł-wyrobnik ledwie dyszy z trudu, on, mistrz nie dba o niego, nie lęka się jego buntów. Nagle zadrżał. Jakiś głos natury szepnął mu coś do ucha. Co?! On nie znajdzie kruszcu do takiego dzieła?? Nie znajdzie?!.. Zasępiło się czoło odlewacza. Znowu zwraca się do natury, by siły pokrzepić i czuje, że to jest największym jej darem. Czy jedynym?

Nagle budzi się w mistrzu człowiek. Idzie para maluchnych dzieci w koszulinkach. To jego dzieci! Co wy dźwigacie, maleństwa, w tym dzbanku? „Coś gorzkiego... Coś słonego... Łzy biednej matuli...“ Chryste Panie! Trzebaby chyba być potworem, żeby na to nie zadrżeć. A tu rozlega się dzwon, dawne dzieło ulane z wierzeń, praw i miłości ludu. Raz na starość Goethe zapłakał nad Faustem i rzekł: „Tak się to człowiek roztapia na własnych węglach.“ Dzwon dzwoni Henrykowi. To zwłoki żony sunące pod wodę trupią ręką chwyciły serce dzwonu i uderzyły: krzywda, krzywda! Odlewacz zadrżał, plunął na ową naturę-zwodnicę, zapomniał, że ona go uzdrowiła, pamiętał tylko, że odwiodła go od tego, co kochał. Biegnie w doliny. Ale tam obrażona w swych uczuciach ludzkość wita go gradem kamieni. Tyś nie mistrz, lecz zbrodniarz, tyś krzywdziciel! Coś uczynił z żoną, z maluchnemi dziatkami?!.. Wygnany, obrzucony kamieniami mistrz wraca na łono natury, ale poznać jej nie może. Wszystko się zmieniło, już ona go nie kocha, już nie zna go. Jakto?! Nie, to tylko w nim się coś zmieniło. Wróżka podaje mu trzy kubki i powiada: stąd siła, stąd jasność ducha; ale kto tamte dwa kubki wy-

pił: ten musi wypić i trzeci, kubek ciszy, skonu. Sam powiesz: dość! Mistrz wypija i umiera. Wschodzi nowa zorza, zrodzą się inni mistrze. Jego czeka noc.

Może to taka treść „Dzwonu zatopionego“ Hauptmanna? A jeśli inna? My ją tak pojmujemy. Nie możemy zapomnieć, że dzieło to wyszło z pod pióra autora „Jagusi“ (Hannele“) i „Tkaczów.“ Według nas baśń ta zajmuje się przedstawieniem obłąkania geniuszu. Nie starajmy się wszystkiego tłomaczyć, ale chodźmy do teatru i uczmy się.

Najpierw składamy podziękę teatrowi za wybór. Następnie składamy podziękę p. Ladnowskiemu za przepiękne wystawienie tego dzieła w tak trudnych warunkach, na tak malucłnej scenie. P. Ładnowski wykazał, że jest artystą „z wielkiego repertuaru.“ Ale nietylko wypada nam go pochwalić jako reżysera. Był on zarazem znakomitym „Kozodojem.“ Rozumie się, że nie sam instynkt artystyczny był mu w tem pomocny, ale jego inteligencya, jego wykształcenie. W postać satyra ludzkość włożyła ogromną część swojej duszy, a słuchając p. Ladnowskiego, odbieraliśmy wrażenie, że mu ta dziedzina dobrze znana.

Nie pora zastanawiać się w tej chwili nad grą artystów, tem bardziej, że było to dla nich przerzuceniem się na całkiem nowe pole. Niektórzy z nich odrazu pewną nogą na mocnym gruncie stanęli: inni jeszcze się chwieją. Niech grają, niech się rozwijają, tu nie chodzi o usterki.

Ale chodzi o to, że teatr przeniósł nas w świat czarowny a tragiczny, że świeciło nam słońce, czuliśmy świeżość, czarowała nas baśń. A przedewszystkiem ogarnęło nas głębokie, niezmiernie głębokie wrażenie.

Oby ten „Dzwon,“ rozkołysany ręką p. Ladnowskiego, zadzwonił nam nową epokę w teatrze. Oby stał się kamieniem węgielnym nowego repertuaru.

Oby ten „Dzwon“ ocknął publiczność i falami dźwięków zmył z jej duszy dotychczasowe upodobania. Oby wstrząsnął sumieniem krytyków i recenzentów.

A przedewszystkiem oby „Dzwon“ ten wstrząsnął kamieniejącemi sercami różnych „nadludzi.“ Oby zrozumieli, że prawdziwe dzwony sztuki ten tylko odlewa, kto sięga po kruszec do duszy dolin.

A wtedy przyszłe pokolenia wyryją jego imię na szczytach.

Andrzej Niemojewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

PRASA. Od 1 marca wychodzi nowe pismo sportowe: „Kolarz, wioślarz i łyżwiarz.“ Z wydanego prospektu brzmi: „hu —ha!“ Redakcya wesołym tonem opowiada, że od „mgieł Albionu, z ojczyzny spleenu powiał prąd rzeźwości i *krzepy*. Był to jeden z najwspanialszych *recordów ducha* współczesnej młodzi, a koło cyklowe, pchnięte potęgą sportowego wiosła, sunęło śmiałym łukiem po marznącej fali życia, na kruchym lodzie której (oj!) stara a poczciwa łyżwa miała się ostać jako jedyny symbol staredawnej werwy... Odżyły przygasłe iskry ambicyi, pączki muskułów zakwitły na dynie,“ słowem, „sport, nikła przyczyna, dokazał jędrności skutków.“ I tak dalej, w tymże tonie i stylu.

POEZYE. A. Niemojewski: „Wybór poezyj“ (222 str.). Gebethner i Wolff.

— Kazimierz Sterling: „Abbadonah,“ poemat w 4 pieśniach (58 str.).

POWIEŚCI. N. Bardzka: „Książę Jerzy,“ powieść historyczna z XV w. (318 str.). Dubowski.

— M. Rodziewiczówna: „Kądziel“ (265 str.). Gebethner i Wolff.

FILOZOFIA. Dr. W. Ołtuszewski: „Psychologia oraz filozofia mowy“ (101 str.). z 5 drzeworytami 80 kop.

ROLNICTWO. T. Łuniewski: „Jak uprawiać kartofle?“ (57 str. — cena 10 kop.)

ENCYKLOPEDYA rolnicza w zeszycie dodatkowym wydała pięknie odbite tablice chromolitografowane owadów szkodliwych.

— Encyklopedya Orgelbranda z. 70 (Derbordes).

SŁOWNIK nazwisk zoologicznych i botanicznych polskich Erazma Majewskiego, zeszyt 19 t. II (łacińsko-polskiego).

W DALI.

Lublin. Do d. 1 b. m. do miejscowej komisyi propinacyjnej wniesiono ogółem 30 podań o wynagrodzenie za pozbawienie prawa propinacyi w kwocie 700,000 rb. Niektóre podania, jak pisze *Gaz. lub.*, były poparte przywilejami królewskimi. Największą trudność w wykazaniu żądanej sumy bonifikacyjnej przedstawiało obliczenie dochodu z propinacyi za ostatnie pięciolecie. Kilku właścicieli, celem uniknięcia kosztów stempla, zawierało umowy ustne lub kontrakty prywatne. To też w kilku wypadkach, nie mogąc udowodnić dochodu, powoływano się na świadków. Wprawdzie łatwo możnaby dochód obliczyć z książek propinacyjnych, które lubelski zarząd akcyzy zabierał corocznie z propinacyą, lecz zarząd ten osobom interesowanym wydawał świadectwa tylko za ostatnie dwa lata, tłomacząc się tem, że książki za lata poprzednie już zniszczono. W obliczeniu dochodu przeciętnego przyjmowano tylko czysty zysk propinacyi, po potrąceniu wydatków na patenty, wartości dzierżawnej, pomieszczenia, gruntu ogrodu itd.

Kijów. Towarzystwo belgijskie, do niedawna eksploatujące tramwaje w Warszawie, w tych dniach nabyło wszystkie akcye Towarzystwa kolei elektrycznych w Kijowie. Kolej zaczął budować przed 6 laty inżenier Struwe. Obecnie ma ona przeszło 30 wiorst długości, odznacza się częstem kursowaniem wagonów i szybką jazdą (średnio 12 wiorst na godzinę bez przestanków). Akcye 250-rublowe Towarzystwa tramwajów kijowskich z początku ceniono po 160 rb. i po tej cenie bankier kijowski Łazarz Brodzki, je skupił. Obecnie odprzedał swoje akcye Towarzystwu belgijskiemu po rb. 450. Towarzystwo belgijskie przystępuje również w Odesie do budowy i eksploatacyi tramwajów elektrycznych. — Przy kijowskim sądzie okręgowym, podług listy, utworzonej w d. 27 stycznia r. b., znajduje się 105 adwokatów przysięgłych, z tej liczby 36% stanowią Polacy, a 18% Żydzi. Pomocników adwokatów przysięgłych było w tymże czasie 135, z tego 30% Polaków i 50% Żydów.

KRONIKA.

Kasa literacka. Z Petersburga nadeszła do Warszawy zatwierdzona przez ministeryum ustawa kasy przezorności i pomocy dla literatów i dziennikarzy. Zadaniem jej jest pomoc członkom i ich rodzinom, oraz ułatwienie gromadzenia oszczędności. Fundusze kasy dzielą się na kapitał żelazny, obrotowy, fundusz przezorności, fundusz zapomóg i wsparć. Fundusz obrotowy przeznacza się na udzielanie uczestnikom pożyczek procentowych, na urządzenie i utrzymanie lokalu kasy, na zakup ksiąg i materyałów piśmiennych, wynagrodzenie pracowników biura itd. Pożyczki procentowe mogą być udzielane uczestnikom do wysokości połowy ich funduszu przezorności (lit. A) bez poręczenia. Pożyczki wyższe — za poręczeniem solidarnem jednego lub więcej odpowiedzialnych uczestników albo osób postronnych. Najwyższą normę pożyczki określa zgromadzenie ogólne. Kwoty, zapisane na rachunek lit. A funduszu przezorności danego uczestnika, stanowią bezwarunkową jego własność i wypłacone mu zostaną po wyjściu z kasy, a w razie zgonu osobie, wskazanej przezeń w deklaracyi złożonej komitetowi kasy; w braku zaś takiej deklaracyi — spadkobiercom. Wypłata nastąpi po zaspokojeniu należności, przypadających kasie od uczestnika. Należności te mają pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi. — Kwoty zapisane na rachunek B funduszu przezorności każdego z uczestników, są własnością kasy, dopóki na mocy decyzyi komitetu, wydanej w myśl §§ 21 i 22, nie przejdą na własność poszczególnych uczestników. Uczestnik, występujący z kasy po latach 10 nieprzerwanego w niej udziału, może z decyzyi komitetu mieć sobie przyznane prawo podniesienia z rachunku B połowy, tj. 50% tych kwot, które na jego konto zapisane zostały. W dalszym, po latach 10 biegu czasu część ta funduszu B, którą komitet przyznać może uczestnikowi, wzrasta każdorocznie o 5%. Po upływie zaś lat 20 nieprzerwanego udziału w kasie, uczestnik, nawet z niej nie występując, ma prawo podnieść całkowitą sumę, zapisaną na jego konto szczegółowe rachunku lit. B. Fundusze, gromadzące się dalej (po nad fundusz uzbierany w ciągu 20 lat) na rachunku lit. B, mogą być podnoszone w całości po upływie każdego następnego pięciolecia lub po wystąpieniu z kasy. — W razie zupełnej niezdolności uczestnika do pracy lub w razie jego śmierci, komitet kasy mocen jest kwotą, zapisaną na konto szczegółowe rachunku B, rozporządzić na korzyść uczestnika lub pozostałej po nim rodziny, bez względu na okres czasu jego uczestnictwa w kasie. — Fundusze przezorności A i B nie ulegają zapowiedzeniom lub aresztom z tytułu dochodzeń rządowych lub prywatnych, aż do chwili zakwalifikowania tych funduszów do wypłaty. Zapowiedzenia i areszty przed tym terminem doręczone, żadnego skutku mieć nie będą. — Kasa uważa się za zawiązaną i rozpoczyna swe czynności z chwilą przystąpienia do niej przynajmniej 50 uczestników i złożenia funduszu przynajmniej 3,000 rb.

Szkoły. Przełożony 4-klasowej szkoły męzkiej w Częstochowie otrzymał pozwolenie na wprowadzenie wykładów hygieny w kl. 4-ej.

— *Torg. prom. gaz.* donosi: Za staraniem generał-gubernatora warszawskiego i za zgodą ministeryum spraw wewnętrznych i oświaty postanowiono utworzyć w warszawskim okręgu naukowym Towarzystwa pomocy nauczycieli i uczniów. Stowarzyszenia te, oparte na ustawie z roku 1897-go, będą zatwierdzane przez gubernatorów w porozumieniu z kuratorem okręgu naukowego. Otrzymano już podania o zatwierdzenie Towarzystw pomocy dla słuchaczów uniwersytetu, politechniki i instytutu weterynaryi w Warszawie, oraz Tow. nauczycieli i uczniów szkół m. Warszawy.

— Agencya telegraficzna donosi *Kuryerowi Warszawskiemu*. „Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan rozkazał generał-adjutantowi Wannowskiemu przeprowadzić wszechstronne śledztwo celem wykrycia przyczyn i okoliczności zajść, które się wszczęły d. 20 z. m. w uniwersytecie petersburskim i ogarnęły niektóre inne zakłady naukowe. Zarazem podobało się Najjaśniejszemu Panu wskazać, że przedsiębranie środków ku przywróceniu zwykłego porządku w rzeczonych zakładach naukowych jest obowiązkiem głównych naczelników tychże zakładów.“

Literatura i sztuka. Redakcya *Muchy* wydaje jednodniówkę na rzecz Kasy przezorności i pomocy literatów.

— W układzie p. Bolesława Kowalskiego na cytrę wyszedł polonez („Pan Chorąży“) z „Hrabiny“ Moniuszki.

— W Warszawie zawiązuje się Towarzystwo miłośników muzyki pokojowej.

Prasa. Wobec szkodliwego kierunku miesięcznika *Wiestnik Jewropy*, ujawnianego wielokrotnie w artykułach, dotyczących środków rządowych w Finlandyi, szczególnie zaś w artykule Mechelina p. t. „Nowa książka p. Jeleniewa i poprawki do niej,“ wydrukowanym w nr. 12 z r. 1898, oraz w artykule p. t. „Z kroniki społecznej,“ umieszczonym w nr. 2 z r. b., minister spraw wewnętrznych postanowił dać temu czasopismu drugie ostrzeżenie.

Przemysł i handel. Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa zatwierdziło Tow. rolnicze dla gub. Siedleckiej.

Katastrofy. Pod Tulonem zdarzył się wybuch prochowni. Zginęło kilkadziesięciu ludzi; przeszło stu rannionych.

Zmarli Józef Emler, profesor i historyk czeski. — Albert Bataille, w Paryżu, znany dziennikarz francuski.

Odpowiedzi Redakcyi.

Ary Rose. Odebraliśmy, ale jeden z warunków naszego konkursu zastrzega, że ma to być poemat, obejmujący co najmniej 500 wierszy.

Maniakowi. Bez wartości.

Pytającemu M. Ważniejsze przekłady na niemiecki: P. Gauer: „Die Bücher der poln. Volkes u. d. poln. Pilgersch." Paryż 1833; K. Kannegiesser: „Konrad Wallenrod," Lipsk 1834, tenże poemat tłomaczyli: O. Konieski, Berlin 1835. A. Weiss, Bremen 1871; R. Spacier: „Herr Thaddeus," Lipsk 1836; P. Cornelius: „Die Sonette," Lipsk. Bibl. Reclama: S. Towiańczyk i K. Kunaszowski: „Vorlesungen über slav. Liter u. Zustände," Lipsk, 1849; A. Bolek: „Grażyna—Farys—Alpuhara," 1860 - i mnóstwo innych. Cen nie znamy.

F. J. w Płocku. Poprostu, Grodno.

Panu A. G. w Odesie. Kartę Pańską otrzymaliśmy przed tygodniem i dlatego odpowiadamy dopiero dzisiaj: „Pszczelarza" i „Ateneum" zaprenumerowaliśmy 12 stycznia. Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała szereg książeczek popularnych o naukach przyrodniczych, znajdzie Pan między niemi żądane. Najlepszą zaś fizyką elementarną są „Wiadomości początkowe" S. Kramsztyka.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem, mając zezwolenie sukcesorów ś. p. Juliusza Kossaka, artysty malarza, na urządzenie wystawy pośmiertnej dzieł tego mistrza i pragnąc, ażeby wystawa ta była najobfitszą w cenne prace zmarłego, a tem samem dała, o ile można, dokładne wyobrażenie o jego artystycznej działalności, zwraca się do posiadaczy dzieł ś. p Kossaka z prośbą o łaskawe udzielenie tychże dzieł na rzeczoną wystawę.

Nadmieniając przytem, że dochód, jaki z tejże wystawy osiągniętym będzie, stanowić ma fundusz na wsparcia stypendyalne dla artysty kształcącego się w kierunku malarstwa, jakiemu przeważnie oddawał się ś. p. Juliusz Kossak, Komitet oczekuje od osób, których dotyczy powyższa prośba, przychylnego i łaskawie spiesznego zawiadomienia pod adresem Towarzystwa, Krakowskie Przedmieście Nr 64.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава 26 Февраля 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.